



MOŁDAWIA • EGİPT • MEKSYK • LUCERNA • UGANDA • KAMBODŹA • BUENOS AIRES • HIROSZIMA • BIAŁORUŚ • WARMIA

www.poznaj-swiat.pl

Poznaj Świat

2

2018

Cena 10,90 zł (w tym 8% VAT)

MIESIĘCZNIK PODRÓŻNICZO-GEOGRAFICZNY



str. 10

MOŁDAWIA

WINO, GAGARIN
I MAMAŁYGA

str. 26

MEKSYK

PLAŻA NA
WYŁĄCZNOŚĆ

str. 56

KAMBODŹA

AMOK I NIE TYLKO

Egipt

ZIMĄ NAD NILEM

str. 18



UGANDA

STR. 46

WŚRÓD ŁAGODNYCH
OLBRZYMÓW

BIAŁORUŚ

STR. 86

NAD NIEMNEM

ARGENTYNA

STR. 68

ŚLADAMI EVITY

ISSN 0032-6143 INDEKS 369802



9 177 0032 614 803 02

Narty w słońcu



Ciesz się słońcem, szusując po bezkresnie szerokich trasach.
Co za panorama! Południowa strona Alp. Wspaniały relaks
przez cały dzień. To się nazywa urlop! W Karyntii.

 Południe
Austrii

www.karyntia.pl

24 ośrodki narciarskie –
szerokie trasy z gwarancją śniegu

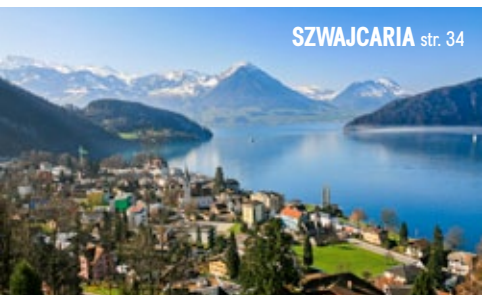
KARYNTIA
Ciesz się życiem



MEKSYK str. 26



MOŁDAWIA str. 10



SZWAJCARIA str. 34



UGANDA str. 46



KAMBODŻA str. 56

W NUMERZE

FOTOFORUM str. 4

Najlepsze zdjęcia
naszych Czytelników

MOŁDAWIA str. 10

Wino, Gagarin i mamałyga.
Magdalena Żelazowska

EGIPT str. 18

Zimą nad Nilem.
Renata Matusiak

MEKSYK str. 26

Tutaj nie trzeba być
milionerem, by mieć swoją
własną rajską plażę.
Oaxaca ma ich mnóstwo.
Aleksandra Synowiec

SZWAJCARIA str. 34

Z Lucerną jest jak
ze szwajcarskimi
czekoladkami – trudno
powiedzieć „dość”.
Bartosz Król

GEOSKOP str. 42

UGANDA str. 46

Z wizytą u goryli górskich.
Ewa Serwicka

PODRÓŻNOŚCI str. 54

Popatrz w dół.
Felieton Magdaleny
Żelazowskiej

KAMBODŻA str. 56

Za niewielką opłatą można
tu zostać wolontariuszem.
Emilia Hinc

NAVIGATOR str. 64

ARGENTYNA str. 68

Śladami Evity Peron.
Anna Dąbrowska

MIKROWYPRAWY str. 76

W pianie do torpedowni.
Felieton Łukasza
Długowskiego

JAPONIA str. 78

Mieszkańcy Hiroszimy
mówią, że w tym mieście
słońce wstało dwa razy.
Agnieszka Mikulec

POLSKA NIEZNANA str. 84

Morza szum.
Felieton Mikołaja
Gospodarka

BIAŁORUŚ str. 86

Odwiedziny turystów
w przygranicznej części
Grodzieńszczyzny nasiliły
się rok temu.
Wilhelm Karud

ŚWIAT W OBIEKTYWIE:

POLSKA str. 94

Warmińska ballada.
Paweł Oleszczuk

POZNAJ ŚWIAT OD KUCHNI str. 104

ŚLADAMI

PRZESZŁOŚCI str. 106

Słone siostry.
Felieton Anny Szczęsnej

OUTDOOR str. 108

POLSKA, KTÓREJ NIE MA str. 112



NA OKŁADCE:
wielbłądy w Gizie



Alicja Kubiak

INDONEZJA

W szpagacie po błocie

Zdjęcie zostało zrobione na środkowej Sumatrze pod koniec sierpnia 2017 r. Przedstawia *Pacu Jawi* – wyścig byków. Zwierzęta ścigają się na polu, w głębokim błocie. Dwa byki są połączone specjalną uprzężą, prowadzi je jeździec, który daje im sygnał do startu przez pociągnięcie za ogony. Musi przez cały czas utrzymywać pozycję bliską szpagatowi i bardzo uważać, żeby się nie przewrócić i nie zrobić z siebie pośmiewiska. Zawody te są bardzo popularne i zawsze mają dużą widownię.

od **169** EUR/os.



REJS SŁONECZNE MORZE ŚRÓDZIEMNE




SAVONA ■ MARSYLIA ■ BARCELONA
MAJORKA ■ PALERMO ■ RZYM ■ SAVONA

8
DNI

 PEŁNE WYŻYWIENIE  ALL INCLUSIVE (opcjonalnie)

 **Statek:** Costa Diadema ****+

 **Terminy:** styczeń - grudzień 2018

 od **259 EUR/os.** + 150 EUR/os. opłaty portowe

REJS FIORDY NORWESKIE





WARNEMUNDE ■ KOPENHAGA ■ GEIRANGER
BERGEN ■ KRISTIANSAND ■ ARHUS ■ WARNEMUNDE

8
DNI

 PEŁNE WYŻYWIENIE  ALL INCLUSIVE (opcjonalnie)

 **Statek:** Costa Favolosa ****+

 **Terminy:** maj - sierpień 2018

 od **509 EUR/os.** + 150 EUR/os. opłaty portowe

MINIREJS PO MORZU ŚRÓDZIEMNYM




SAVONA ■ BARCELONA
MARSYLIA ■ SAVONA

5
DNI

 PEŁNE WYŻYWIENIE  ALL INCLUSIVE (opcjonalnie)

 **Statek:** Costa Mediterranea ****

 **Terminy:** październik - listopad 2018

 od **169 EUR/os.** + 100 EUR/os. opłaty portowe

REJS PERŁY EMIRATÓW ARABSKICH




DUBAJ ■ MASKAT ■ SIR BANI YAS
ABU DHABI ■ DUBAJ

8
DNI

 PEŁNE WYŻYWIENIE  ALL INCLUSIVE (opcjonalnie)

 **Statek:** Costa Mediterranea ****

 **Terminy:** grudzień 2018 - marzec 2019

 od **259 EUR/os.** + 150 EUR/os. opłaty portowe





Jan Siemiński

NIEMCY

Diabelsko ładnie

Kromlau to mała miejscowość w Niemczech, tuż za miedzą, 10 km od naszej granicy. Można tam odwiedzić jeden z największych u naszych sąsiadów park rododendronów o powierzchni około 200 ha, a w nim dość nietypową budowlę – most Rakotz z 1860 r. Nazywany jest również Mostem Diabła. Wygląda jak ze scenerii „Władcy Pierścieni” i jest miejscem bardzo popularnym wśród turystów, a przede wszystkim fotografów.



Tomasz Owsiany

FILIPINY

Pierwsza pulpa

Wioska Tagbak w prowincji Bukidnon na wyspie Mindanao. Kobiety z plemienia Talaandig szykują kukurydzianą pulpę na *lagun*, święto pierwszych zbiorów kukurydzy. Z otartego miąższu powstaną odtworzone kolby. Wieczornym obchodom będą towarzyszyły długie modlitwy do boga Magbabai oraz duchów *diwata*, a w ofierze zostaną złożone koguty. Wśród Talaandigów oraz wielu innych plemion zaliczanych do grupy Lumadów plemienna religia i kultura pozostają żywe i autentyczne.

„Co się święciło tego dnia. Mężczyźni od rana znosili z okolic wory pełne kukurydzy (...) Kobiety siedziały na drewnianej werandzie świetlicy i szykowały kukurydzianą pulpę. Ucierały godzinami, na zmianę, a odgłos szorowania i głośne pogaduchy wprowadzały rzadki tutaj hałas. Młodzież pomagała przy odrywaniu zielonkawych otulin kolb, które piętrzyły się na stosie. Tarki tarły dalej, a masa kapała. Były jej już całe litry, kiedy przyszedł czas na napętnianie osnówek. We wprawnych dłoniach kobiet powstawały jednorodne, odtworzone kolby kukurydzy, które nazywano *binaki*. Jedna, druga, setna. Ułożone równo na plecionych tacach tworzyły piękny obraz, dopełniony żółtymi plamami utartej pulpy. Potem łądowały w garze, a ich soczysta zieleń blakła. Niektóre brązowiwały jeszcze w ogniu. Chłopcy tymczasem wyłapywali koguty, nawet bardzo młode. Dla nich, niestety, nasze święto było dniem ostatnim”. Tomasz Owsiany, „Pod ciemną skórą Filipin”, wyd. Muza.

Monika Mizera

RPA

Koniec dla tońców?

Aby podziwiać pingwiny, nie trzeba wyruszać na Antarktydę. Plaża Boulders Beach to część Parku Narodowego Góry Stołowe. To tutaj znajduje się największa kolonia pingwinów na stałym lądzie w RPA. Wszystko zaczęło się w 1982 r. od pary ptaków. Przez lata kolonia rozrosła się do 2200 osobników. To jedno z niewielu miejsc na świecie, gdzie z tak bliska można obserwować pingwiny w naturalnym środowisku. Niestety ze względu na zmiany klimatyczne i rozwój rybołówstwa populacja pingwinów przyładkowych drastycznie spada. Dużym zagrożeniem jest też zanieczyszczenie wód Afryki, szczególnie katastrofy spowodowane wyciekami ropy z tankowców. Obecnie na terenie RPA można spotkać tylko jeden gatunek, pingwina przyładkowego, zwanego również tońcem. Dawniej na południu Afryki żyły nawet cztery gatunki pingwinów, z czasem jednak wymarły.



Prześlij zdjęcie!

Zachęcamy do nadsyłania zdjęć na adres: redakcja@poznaj-swiat.pl.
W temacie e-maila należy wpisać „Fotoforum”, a w treści – imię i nazwisko autora oraz opis zdjęcia.
Minimalny rozmiar fotografii to 2 MB.





WJNO,

GAGARIN I MAMAŁYGA

Magdalena Żelazowska



Jeden z ostatnich nieodkrytych zakątków Europy. Kiedy patrzymy na mapę, myślimy, że Mołdawia mogła trafić lepiej. Jest niewielka, nie ma gór ani morza, nie leży na słonecznym południu ani na śnieżnej północy. Ma jednak coś, czym bije inne kraje na głowę.

BEZDROŻA BESARABII

Jesteśmy w Purcari, najstarszej winnicy w Mołdawii. Powstała w 1827 r., po tym, jak car Mikołaj I ustanowił dekret o płaceniu podatków przez rosyjskie gubernie. Należała do nich Besarabia – wschodnia część dzisiejszej Mołdawii, przyłączona do Cesarstwa Rosyjskiego po wojnie z Imperium Osmańskim. Purcari stała się pierwszą oficjalnie zarejestrowaną winnicą w Besarabii. Stąd już tylko kawałek do Morza Czarnego, dlatego w całym regionie panuje specyficzny mikroklimat, idealny dla uprawy winorośli. Potwierdza to skala tutejszych upraw: winnice należące do Purcari zajmują aż 255 hektarów. Nie umiem objąć ich wzrokiem. Na tym tle wszystkie inne winnice, które do tej pory odwiedziłam, przypomiwały przydomowe ogródki. Wyjeżdża stąd 2 mln butelek rocznie. Do produkcji litra wina w zależności od rodzaju potrzeba od półtora do 90 kg winogron – więcej zużywa się na wino białe, bo robi się je z owoców bez skórek.

70 proc. upraw w Purcari stanowią odmiany czerwone: cabernet sauvignon, merlot, saperavi, pinot noir. Właśnie tak kojarzy nam

Pomalowany na intensywny błękit ZiEł z głośnym warkotem wspina się pod górę. Kołysze się na boki, z trudem forsując zbocze. Na pace przerzucano w poprzek kilka desek, które tworzą prowizoryczne ławki. Siedzę na nich wraz z innymi ludźmi i podskakujemy na każdym wyboju. Wiatr czochra mi włosy, na zakrętach kurczowo trzymam się sąsiada, żeby nie wypaść. Po chwili jesteśmy na szczycie wzgórza, z którego roztacza się widok na bezkres winnic. Silnik gaśnie. Czas zacząć winobranie!

FAJNY FOLKLOR

Podczas Ziua Națională a Vinului, święta wina w Kiszyniowie, nie mniej niż trunek pobudzają mołdawskie tańce ludowe.



WIDOK Z CELI

Kompleks archeologiczny Stary Orgiejów na wzgórzach Wyżyny Besarabskiej liczy kilkadziesiąt skalnych cel pustelników. Z takim widokiem naprawdę niewiele potrzeba do szczęścia.

się w Polsce mołdawskie wino: czerwone, półsłodkie. To już dawno nieaktualny stereotyp. Kto nie spróbuje lokalnych win białych, różowych i musujących, popełni duży błąd. Od włoskich, francuskich czy chilijskich różni się tylko jednym: ceną. Już za kilka euro można kupić naprawdę dobrej jakości trunki.

Pod zamkiem znajduje się piwnica w kształcie krzyża – 300 lat temu zbudowali ją mnisi, wierząc, że tym samym zapewnią sobie i produkowanym przez siebie winom Boże błogosławieństwo. Dziś leżakują tu butelki liczące kilkadziesiąt lat. Najwięcej jest tych z 1986 r.: po wybuchu w Czarnobylu zainteresowanie winami okolicznych terenów spadło, bo konsumenci bali się o swoje zdrowie. Historia mołdawskiego wina jest ściśle związana z Rosją, a potem Związkiem Radzieckim. W czasach ZSRR Mołdawia i Gruzja produkowały wino dla wszystkich republik radzieckich. To czasy masowej produkcji, która nie zawsze szła w parze z jakością. W tym okresie niemal wyginęły niektóre szlachetne odmiany winorośli: fetească neagră, fetească albă, rara neagră, viorica. Współcześnie są otoczone szczególną troską. Upadek Związku Radzieckiego zostawił Mołdawian ze sporą infrastrukturą i wiedzą. Z jednego i drugiego potrafią zrobić użytek, dziś stawiając przede wszystkim na jakość.

WINA GAGARINA

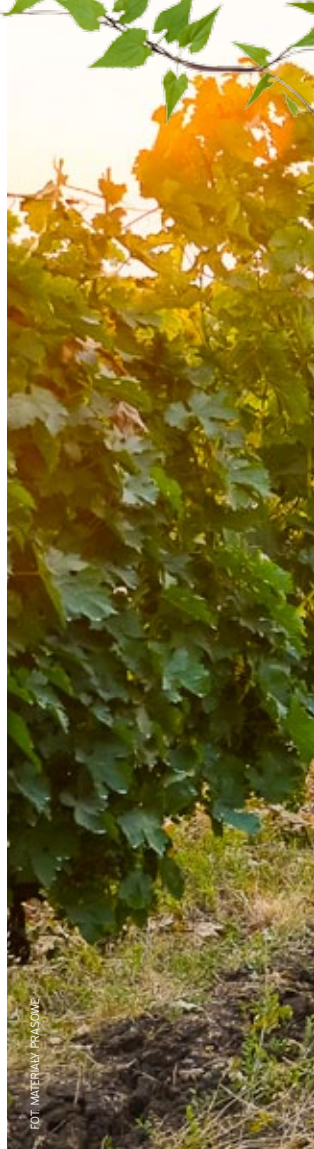
Pięć kilometrów od stołecznego Kiszyniowa leży miasteczko Cricova. Legenda głosi, że jego nazwa pochodzi od krzyku, jaki wydał z siebie mnich, którego Turcy ukarali śmiercią za to, że jako jedyny nie zgodził się podporządkować ich rozkazowi o zakazie produkcji wina. Okoliczne wzgórza podobno po dziś dzień niosą jego krzyk. Cierpienie mnicha nie poszło widać na marne – produkcja wina ma się tu świetnie. Lokalna winnica trafiła nawet do Księgi rekordów Guinnessa jako największy podziemny kompleks winiarski. Mieści się w dawnej kopalni wapienia i zajmuje 120 km podziemnych korytarzy, z czego 80 km jest przeznaczonych na składowanie wina. W czasie wojny znajdowały się tu wojskowe bunkry, ale na czas pokoju dla chłodnych podziemi wybrano szlachetniejsze przeznaczenie.

Wsiadamy do meleksa i przemierzamy zatopione w półmroku tunele. Pęd chłoszcze twarze zimnym powietrzem o piwnicznym zapachu. Kiedy mijamy niekończące się rzędy beczek i butelek, zupełnie tracę orientację. W sensie przenośnym zagubił się tu też Jurij Gagarin, który odwiedził Cricovą w 1966 r. W podziękowaniu napisał, że łatwiej było mu polecieć w kosmos, niż opuścić winnicę zawierającą tyle skarbów. Cricovą do dziś odwiedza wiele znanych osobistości, niektórzy przechowują tutaj swoje kolekcje win. Każdy może sobie wynająć piwniczkę i zdecydować, ile trunków, jakich i przez jaki okres chce przechowywać. Takich prywatnych butelek winnica przechowuje obecnie milion. Jest też przeznaczona na sprzedaż kolekcja narodowa, zawierająca najlepsze mołdawskie roczniki. Zdarzają się także kolekcje tych, którzy już nie żyją, jak przejęta przez Armię Czerwoną kolekcja Hermana Göringa, zawierająca doskonałe wina z całej Europy. Te, które nie zostały wypite przez żołnierzy świętujących koniec wojny, trafiły na Krym, do Gruzji i do Mołdawii, ale tylko z Cricovej nie zostały wyprzedane – dziś przechowuje się tu 2 tys. butelek z kolekcji liczącej ich pierwotnie dziesięć razy więcej. Zakurzone, omszałe butelki leżą na półkach, każdy może ich dotknąć. Za szkłem jest tylko jedna, najcenniejsza w tutejszych piwnicach – koszerne wielkanocne wino z Jeruzolimy z 1902 r.

Dość podziwiania, pora na degustację. Sal do wyboru jest kilka. W jednej z nich zachowano naturalne wapienne sklepienie, w którym widać skamieniałe muszle – 10 mln lat temu na tych terenach znajdowało się Morze Sarmackie. „Dziś zostało morze wina” – myślę, patrząc na rząd czekających na napełnienie kieliszków. Przewodnik Roman Lipodat wyjaśnia, że jeśli chcemy podejść do degustacji profesjonalnie, powinniśmy wszystko wypluć, w końcu prawdziwy sommelier nie może nawet używać perfum ani pasty do zębów, aby nie zakłócić smaku. Ale w Mołdawii marnowanie wina byłoby znakiem choroby. A już na pewno w przypadku Crisecco – tutejszego prosecco, które jest tak dobre, że właściciele winnicy postanowili zastrzec dla niego osobną nazwę. W Cricovej wytwarza się też szampana według tej samej receptury co w Szampanii, ale ze względu na zastrzeżoną nazwę wolno tu używać określenia „wino musujące”. Dobra rada, jak je otwierać, żeby uniknąć wystrzału: kręcimy nie korkiem, tylko butelką.

KOBIETY KRĘCĄ LEPIEJ

W Cricovej dowiaduję się, że bardziej wrażliwe na wyrafinowany smak wina są kobiety – zdaniem angielskich naukowców mają więcej kubków smakowych i są one szerzej rozmieszczone. Mają też doskonały węch – żona na kilometr potrafi wyczuć pijanego męża. Kobiety są bardziej sumienne i cierpliwe, dlatego lepiej sprawdzają się w ginącej sztuce *remiage* (fr.) – ręcznego przekręcania butelek, dzięki któremu naturalny osad z wina wytrąca się i skupia w szyjce odwróconej butelki, skąd



FOT. MATERIAŁY PRASOWE



łatwo go usunąć. Klik, klik, klik – wprawna pracownica jest w stanie przekręcić nawet 45 tys. butelek dziennie. To pierwszy raz, kiedy słyszę pochwały kobiet w kontekście wina – do tej pory kojarzyłam tę dziedzinę z mężczyznami, w średniowieczu mnisi uważali nawet, że w kontakcie z kobietą wino staje się nieczyste. W Mołdawii w produkcji wina panuje wręcz matriarchat: najlepiej wyciskają wino stopy młodych dziewczyn. A nazwa popularnej tutaj odmiany fetească oznacza młodą dziewczynę.

Skoro mowa o mnichach – jedziemy ich tropem do Starego Orgiejowa, kompleksu archeologicznego położonego na wapiennych wzgórzach Wyżyny Besarabskiej. W szarej skale można wypatrzeć monasterium powstałe między XIII a XVII w. – mogło ich być nawet sto. W kamieniu wykuto maleńkie cele, w których jeszcze do XIX w. mieszkali pustelnicy.

Prostego, choć nie ascetycznego życia można spróbować w sąsiedniej wiosce Botuszany. Wapienna kotlinka oddziela to miejsce od świata. Czas jakby się tu zatrzymał. Przy wąskiej gruntowej drodze przycupnęły drewniane domki, ukryte w pomalowanych na niebiesko i zielono bramach. Dzieci biegną za piłką, starszuszki w kwiecistych chustkach siedzą na ławce w cieniu pergoli, po której pnie się winorośl.

W agroturystyce Eco Resort można spróbować lokalnej kuchni. Jest tak różnorodna jak mołdawska historia: czuć tu wpływy tureckie, rosyjskie, ukraińskie, greckie i żydowskie. Królowe stołu są dwie: to mamałyga (kaszka kukurydziana) i *placinta* (placek z pełną dowolnością nadzienia – może być z serem, mięsem, kapustą, owocami). Oprócz tego faszerowane liście kapusty (*sarmale*), warzywa grillowane na węglu drzewnym oraz zdobycze z imponującej piwniczki z kiszunkami i marynatami:

I TAK DALEJ

W skali mołdawskich upraw winnica Et Cetera jest maleńka, ale nie ma lepszego miejsca, jeśli chcemy się zatrzymać i smakować życie.



DOBRA NA WSZYSTKO
Plăcintă, tradycyjny mołdawski placek, pasuje do wszystkiego: dotyczy to i nadzienia, i okazji.

papryka, ogórki, pomidory, a nawet kiszony arbus. Do tego wyrazisty kozi ser, a na deser pierożki z wiśniami. Wszystko na ręcznie tkany, kolorowym obrusie.

OD PUCYBUTA DO SOMMELIERA

Przemysł winiarski to szansa dla najbardziej zubożałego kraju w Europie, jakim jest Mołdawia. To także pomysł na życie dla coraz większej liczby mieszkańców. Do tej pory wielu z nich wyjeżdżało, aby zarobić na życie za granicą. Ale korzenie każą wracać. Bracia Luchianov pieniądze zgromadzone w Stanach za-inwestowali w rodzinną winnicę Et Cetera w Crocmaz. Jest tu wiejsko i sielsko, na tarasie wygrzewają się koty, a pola obsadzone rzędami winorośli można objechać rowerem. Ale wewnątrz restauracji czuć światowe doświadczenie – ktoś miał tu świetną rękę do wystroju. Wkrótce ruszy baza noclegowa w pensjonacie w stylu skandynawskim. W Mołdawii prosto jest zostać winiarzem – państwo chce pobudzić przedsiębiorczość obywateli, dlatego nie



wymaga akcyzy i licencji, a wino oficjalnie nie jest uznawane za alkohol, tylko produkt spożywczy (pijani kierowcy nie mogą się jednak tym usprawiedliwić). Czy bracia nie boją się konkurencji? – *Przeciwnie!* – protestuje Alexandru Luchianov. – *Jeśli w okolicy powstanie więcej winnic, będziemy mogli organizować całodzienne wycieczki ich szlakiem.*

Rodzina Cristiny Frolov nie chciała nigdzie wyjeżdżać, od początku wiązali swoją przyszłość z Mołdawią. Jej ojciec tłumaczy



Magdalena Żelazowska

Dziennikarka, pisarka, blogerka. Od lat w bliższych i dalszych rozjazdach, w które zawsze zabiera notatnik. Jest autorką powieści „Zachlanni” i „Hotel Bankrut”. Prowadzi blog podróżniczy www.zgubsietam.pl.

to tak: – *To moje miejsce. Tu się urodziłem, rozumiem mołdawski język i tutejszych ludzi. Nigdzie się nie wybieram.* Dziś jest właścicielem największego w Mołdawii zamku związanego z produkcją wina, rodzina posiada też własną linię win. Castel Mimi mieści się w jego rodzinnej wiosce Bulboaca. Niewielki XIX-wieczny budynek został rozbudowany w czasach sowieckich, a potem popadł w ruinę. Dziś to nowoczesne i pełne kulturalnych wydarzeń miejsce. Właściciele dopiero się

rozkrecają: jest już świetna restauracja, przestrzeń na eventy, basen, za chwilę przyjdzie czas na spa i butikowy hotel. Kiedy patrzę na zdjęcia zrujnowanego zamku, trudno mi w to uwierzyć. – *My wierzyliśmy w ten plan od początku* – mówi Cristina. – *Teraz namawiamy naszych gości: dajcie mołdawskim winom szansę.* Ja też namawiam. Jest tylko jeden szkopol: wino to żywy organizm, przy transporcie sporo traci. Nie ma więc rady, musicie przyjechać do Mołdawii! ○

FOT. SHUTTERSTOCK



ZIMA NAD NILEM

Renata Matusiak

Opuszczam halę przylotów kairskiego lotniska i maszeruję w objęcia grudniowej egipskiej nocy. Odmawiam kolejnym taksówkarzom zastępującym mi drogę. Ktoś bierze mnie za rękę. To Haitham. Jedziemy przez opustoszałe już ulice metropolii, zmierzając do 6th of October City. Powietrze jest nadal pełne smogu i spalin.



Wegipskich domach nie ma ogrzewania. Zimą temperatura w nocy spada do około 8°C. Podobna panuje w mieszkaniach. Okna, szczelnie zasłonięte, dają doskonałą osłonę przed słońcem latem, ale nie dopuszczają go też zimą, co uniemożliwia podniesienie temperatury podczas słonecznych dni. A dni innych niż słoneczne w Egipcie prawie nie ma.

6th of October City (Miasto 6 października) jest nowym miastem, zasiedlanym przez klasę wyższą oraz nieliczną klasę średnią, uciekającą przed uciążliwościami kairskiego molocha. Rodzinne domy są trzy- i cztero-piętrowe. Tak jak dom Abdulrahmana, gdzie na parterze mieszkają rodzice z najmłodszym bratem, a kolejne trzy piętra zajmuje on i pozostali dwaj bracia z rodzinami. Obok jest zakład fryzjerski pewnego Syryjczyka. W swoim kraju był szanowanym biznesmenem. Został wszystko i przedostał się do Egiptu tylko z tym, co miał na sobie. Tu zaczął od nowa. Wielu jemu podobnych przedsiębiorczych uchodźców ulokowało się w tej dzielnicy.

Egipskie domy, bez względu na status społeczny mieszkańców, mają podobny układ. Z zewnątrz wchodzi się do salonu. Dopiero potem znajduje się coś w rodzaju naszego przedpokoju, z którego jest wejście do kuchni, łazienki i poszczególnych pokoi czy sypialni, umeblowanych wszędzie według takich samych zasad: duże łóżko, szafa, toaletka.

ZARĘCZYNY Z HASZYSZEM

To był mój pierwszy pobyt w Egipcie. Mówię arabskim, którego uczyłam się w odmianie klasycznej (*fusha*). W zderzeniu z odmianami używanymi w każdym z arabskojęzycznych krajów brzmi on prawie jak język obcy. Teraz dziwię się uproszczeniom gramatycznym w egipskim arabskim i zupełnie innej wymowie. Mój klasyczny język brzmi zapewne zabawnie. Wszyscy uczyli się go w szkole, ale nie posługują się nim na co dzień. Teraz zmuszam ich do przypominania sobie archaizmów.

Za oknem fajerwerki. Do Nowego Roku zostało jeszcze kilka dni. Wychodzę na balkon i widzę zaręczynową paradę zmierzającą

MALEJĄCY BIZNES

Przewodnik oferujący przejażdżkę wokół piramid w Gizie. W zależności od wykupionego czasu wielbłądy zataczają mniejszy lub większy krąg. Kamieniami są zaznaczone najlepsze miejsca do wykonania zdjęć z piramidami w tle. Ale czasy, kiedy każdego dnia były tutaj tłumy, już dawno minęły.



KORBEN/ALAMY



FOT. RENATA MATYSIAK

na przyjęcie do restauracji. O tym, że to nie weselna uroczystość, lecz zaręczynowa, świadczy kolor sukni panny – inny niż biały, w tym przypadku niebieski. Egipcjanin ma zawsze w swoim otoczeniu kogoś, kto się zaręcza albo pobiera... Za chwilę sama znajdę się na przyjęciu zaręczynowym. Kolor sukni bohaterki wieczoru będzie różowy, a impreza na mniej więcej 700 osób.

Zostaję przedstawiona młodym i ich licznym znajomym. Siadam przy stole z kobietami – narzeczonymi kolegów mojego towarzysza. Podczas przyjęcia goście są podejmowani obiadem, deserami, napojami. Na stołach i pod nimi panuje, delikatnie mówiąc, bałagan. Ponieważ dziewczyny chcą tańczyć, idziemy na parkiet. Tworzą się dwa osobne kręgi: męski i damski. Na scenę wchodzi znany egipski artysta Mahmoud Al Lethy. Impreza jest bez alkoholu, ale w pewnym momencie chętnym zostaje zaserwowany popularny w Egipcie i powszechnie używany haszysz. Jego amatorzy wychodzą zapalić na zewnątrz. Kulminacyjnym punktem jest nakładanie obrączek

lub darowanie narzeczonej całego zestawu biżuterii – w zależności od umowy między rodzicami. Kobieta nosi złotą obrączkę, mężczyzna – srebrną. Przyjęcie zwykle trwa od ósmej wieczorem do północy.

ŚNIADANIE POD BLOKIEM, OBIAD Z WIDOKIEM NA NIL

Jadę do Al-Minja, a pod koniec trasy mam scysję. Kierowca zbiera pieniądze za przejazd. Z uzgodnionych 50 funtów robi się 55. Podaję banknot stu funtowy i otrzymuję resztę. Jestem w szoku, coś takiego nie mogłoby się zdarzyć np. w Afganistanie, Pakistanie czy Tadżykistanie. – *Ej, przyjacielu, tu jest 35* – mówię po arabsku. Z obcesową miną wymienia dziesiątkę na dwudziestkę: – *Masz swoją resztę!* – odpowiada pogardliwie.

W Al-Minja czekam na Ahmeda i Mohameda (w Egipcie co drugi mężczyzna to Mohamed albo Ahmed). Po nadbrzeżnej ulicy krążą sprzedawcy kawy i herbaty. Panoszy się Nescafé, zdobywająca popularność zwłaszcza

STARY, ALE TRWAŁY

Sfinks na terenie kompleksu w Gizie. Stoi tutaj już ponad dwa i pół tysiąca lat, odwiedzany przez ludzi z całego świata, ale również przez Egipcjan. Wieczorem oplata go tańczące barwami widowisko światła i dźwięk.





BĘDZIE ŚLUB!

Egipskie przyjęcie zaręczynowe. To nie tylko rodzinne wydarzenie połączone z obdarowaniem narzeczonej złotem, ale również okazja, aby sobie potańczyć i posłuchać na żywo znanych artystów.

wśród młodych. Kawa i herbata w Egipcie są serwowane w trzech wersjach: słodka, pół-słodka i bez cukru. Jeśli nie zaznaczymy, o jaką chodzi, dostaniemy zawsze z cukrem. Rano idę z Ahmedem po śniadanie – ma on swojego sprzedawcę falfafeli i fasoli kilka przecznic od bloku. Okazuje się, że stoisko jest oblegane przez mieszkańców osiedla, bo tutaj nikt nie zwraca sobie głowy przygotowywaniem porannego posiłku.

Al-Minja jest sporym, ale prowincjonalnym miastem i takim też ośrodkiem była w starożytnym Egipcie. Mohamed i Ahmed zabierają mnie za miasto, gdzie na wschodnim brzegu Nilu wznoszą się wysokie skalne bloki z grobowcami wykutymi w wapiennym zboczu. Ich bogaty wystrój malarski ukazuje sceny z życia codziennego. To Bani Hassan.

Zapraszają mnie na obiad. W restauracji, usytuowanej na drugim piętrze z pięknym widokiem na Nil, serwują pyszną kuchnię egipską. Na stole pojawiają się pasty: bakłażanowa i sezamowa, *molokhia* (juta warzywna) ze smażonym czosnkiem oraz *fette* (smażone bakłażany z mięsem). Po obiedzie – sok z trzciny cukrowej. Przyłącza się do nas Mane, który wita mnie piękną polszczyzną. To efekt dziewięciu lat nauki i pracy z Polakami jako rezydent w Hurghadzie. Opowiada kolegom, jaki to trudny język.

BARDZO BIEDNI ROSJANIE...

Około 130 km pustyni i jestem w Asjut jako gość kolejnego Mohameda. Zimą kobiety zakładają tu sukienki z polaru. Mama



FOT. RENATA MARTEL CSIKI

Mohameda martwi się, widząc mnie tylko w ba-
wełnianej. Pijemy herba-
tę z jabłkowym deserem
i zaspokajam jej cieka-
wość związaną z sytuacją
kobiet w Afganistanie.
Mohamed uważa, że nie
powinam spacerować
po mieście sama. Ponie-
waż nie może ze mną
wyjść, poprosi o to kole-
gę, Ahmeda.

Na centralnym placu,
wokół którego mieszczą
się banki, jest pomnik Ta-
laata Harba, założyciela
pierwszego egipskiego
banku. Podchodzi po-
licjant i grzecznie pyta
Ahmeda, dlaczego robię
zdjęcia banku. Uprzejmie
się wtrącam po arabsku,
że fotografuję tylko pom-
nik. Policjant jest jesz-
cze bardziej uprzejmy:
pomnik wolno.

Asjut zajmuje roz-
ległą dolinę nad Nilem.
Jedziemy na obrzeża
miasta i szeroką asfal-
tową drogą wchodzimy
do klasztoru Dirunka,

ulożonego na zboczu wzgórza. Znajduje
się tu zespół kościołów i pomieszczeń hote-
lowych dla pielgrzymów. Kościół Marii Dzie-
wicy utworzono w jaskini, w której, jak wierzą
Koptowie, przebywała Święta Rodzina w cza-
sie swej wędrówki przez Egipt. Nowoczesny
kompleks z dużym zapleczem hotelowym
może przyjąć sporą liczbę pielgrzymów, którzy
przybywają tu obecnie przez cały rok. Na te-
renie zespołu znajduje się grób ojca Michaiła,
fundatora nowego oblicza tego miejsca, który
słynie również jako cudotwórca. Jak mówi sio-
stra Martha – ludzie doznają łask u jego grobu.

Mohamed, student medycyny, miał mie-
sięczną praktykę w szpitalu w Hurghadzie.
Jego pacjentami byli głównie rosyjscy tury-
ści. Wyuczył się po rosyjsku zwrotów „przed
jedzeniem”, „po jedzeniu” oraz „dwa albo

trzy razy dziennie” i wyrobił sobie zdanie
o Rosjanach przyjeżdżających do Hurghady,
że są to ludzie bardzo biedni... Często miał
problem z uzyskaniem od nich odpłatności
za leki. Czarowali go na różne sposoby, tłu-
macząc, że żądana opłata to „niemal cały ich
wakacyjny budżet”.

Mohamed z Asjut jest zaręczony. O ślubie
jeszcze nie myśli, bo po zakończeniu studiów
czeka go wojsko. Podczas zaręczyn wymienili
tylko obrączki. Młodym mężczyznom na ogół
nie podobają się te zwyczaje: umowy i kontrak-
ty zawierane między rodzinami. Niektórzy
nazywają to opłatą za żonę, inni – podzięko-
waniem za wychowanie.

SYLWESTROWY LUKSOR

Z Asjut nie ma bezpośredniego połączenia
drogowego do Luksoru, tylko z przesiadką
w Kinie. W ten sposób znalazłam się w sta-
rożytnych Tebach. Kiedyś zastanawiałam się,
czy nastąpi ten moment i jak będzie wyglądał.
Upłynęło wiele wody w Nilu i oto jestem
w miejscu, gdzie wielu archeologów mogło
przeżywać ekscytujące chwile. Kiedyś była
to część stolicy starożytnego imperium, które
w czasach największej świetności podbiło
Nubię. Teraz piję kawę z Osamą, w połowie
Nubijczykiem. Osama ma 33 lata, siedmio-
miesięczną śliczną córkę i jest w separacji
z żoną. Mieszka w wiosce nieopodal Luksoru.

Naprzeciw świątyni jest kilka coffee sho-
pów, jeden z nich szczególnie upodobali sobie
przewodnicy. Przy herbacie z miętą i fajce
wodnej powtarzają sobie zasłyszane od tu-
rystów historie i dowcipkują na ich temat.
Od kilku lat nie ma tłumów. Za dobrych cza-
sów, przed rewolucją, ciągle brakowało miejsc
w hotelach, ludzie biwakowali pod gołym
niebem, na ulicach.

Procesje pogrzebowe miały spory dystans
do przebycia, od portu na Nilu do grobowców
w dolinie między górami. Idę przez nowe mia-
sto powstałe na zachodnim brzegu, niegdyś
zarezerwowanym na nekropolię. Na odcinku
około 3 km, dzielącym linię brzegową Nilu od
słynnych grobowców, wcisnęły się nowe zabu-
dowania współczesnego Luksoru. Wspięłam
się na skróty do świątyni Hatszepsut i dalej już
podążałam do Doliny Królów.



**BAZAR,
CZYLI WSZYSTKO**

Gwarne i tłoczne bazyry w Egipcie są miejscem życia towarzyskiego oraz załatwiania spraw niekoniecznie związanych z zakupami. Na zdjęciu targowisko w Asjut. Mieszkańcy twierdzą, że jeśli czegoś nie można tutaj kupić, to zapewne nie istnieje.

Bilet wstępu pozwala zwiedzić trzy dowolnie wybrane świątynie grobowe. Wchodząc do Ramzasa III, długim korytarzem opadającym w głąb skalnego podłoża do pustego sarkofagu. Siedzący w środku strażnik wyraźnie się nudzi i zaczyna rozmowę. Następnie zwiedzam podwójny grobowiec Tansert i Setnakht. W Dolinie Królów obowiązuje całkowity zakaz fotografowania. Pytam, czy mogę zrobić zdjęcie na zewnątrz. Przewodnik przy wejściu kiwa twierdząco głową, drugi biegnie ze środka i krzyczy, że nie wolno, a potem pyta mnie, skąd jestem. W końcu recytuje imiona wszystkich polskich archeologów pracujących w Hatszepsut, pozwala wyjąć aparat i robić zdjęcia nawet w środku grobowca.

W drodze powrotnej do przystani promowej zatrzymuje mnie policja. Dlaczego tu chodzę przez cały dzień? Dlaczego nie wezmę taksówki albo nie skorzystam z lokalnego busa,

tylko od rana człapię piechotą po całej zabytkowej okolicy, nawet po zachodzie słońca?

W sylwestrowy wieczór Świątynia Luksorska stoi oświetlona jak każdej nocy. Przewodnicy zakończyli dzień pracy, piją herbatę i palą fajki w swoim barze. Woda w Nilu płynie swoim tempem, a na hotelowych statkach zaczyna się zabawa. Sylwestrowe szampańskie szaleństwo w Egipcie dotyczy jednak tylko cudzoziemców.

**SKARABEUSZ
NA DROGĘ PRZEZ ŻYCIE**

Dworzec lokalnych busów w Asuanie nie jest odwiedzany przez turystów. Przyjeżdżający na własną rękę wybierają raczej drogę kolejową. Chłopak z pobliskiego coffee shopu, widząc, że czekam na kogoś, dyskretnym gestem zaprasza, bym usiadła i poczekała u nich. Jestem





FOT. RENATA MATUSIAK

w stolicy historycznej Nubii. Życie płynie tu jakby spokojniej i radośniej. Staś i Nel też tutaj byli.

Krążymy z Ahmedem po mieście o zachodzie słońca. Wieje silny wiatr. Jediną kawiarnią na długim nadrzecznym deptaku jest McDonald's. Wędrujemy dalej nad Nilem w stronę XIX-wiecznego pałacu i ogrodów, spuścizny po brytyjskiej okupacji Egiptu, oraz do imponujących rozmiarów piętrowej katedry koptyjskiej. Delikatne światła mrugające z przeciwległego brzegu rzeki przypominają o znajdujących się tam grobach nubijskich notabli.

Najbardziej na południe wysuniętą atrakcją historyczną Egiptu są dwie świątynie Ramzesa II w Abu Simbel – trzy i pół godziny jazdy z Asuanu. Po drodze tylko pustynia. Turyści muszą skorzystać z usług agencji i dotrzeć tam tylko specjalnie zorganizowanym transportem. Wszystkie autobusy, busy i pojazdy osobowe ruszają we wspólnym konwoju o 4 rano z Asuanu. O 7.30 docierają na miejsce. Pytam w jednej z agencji, ile taki przejazd kosztuje.

Okazuje się, że 250 egipskich funtów. Podskakuję z wrażenia. Tej długości dystans lokalnym busem kosztowałby do 25 funtów w jedną stronę. Chłopak w biurze dostrzega moje zdziwienie:

– *Ile możesz zapłacić?*

– *100.*

– *Żartujesz?!!!*

– *Nie. Nie żartuję.*

Kieruję się do wyjścia.

– *Dobrze, pojedziesz za 100, ale zapytaj innych turystów, ile oni zapłacili.*

W Abu Simbel turyści mają dwie godziny na zwiedzanie. Po tym czasie wszystkie pojazdy wyruszą konwojem w drogę powrotną. Sprzedawcy pamiątek rozpaczliwie szukają zarobku, łapią turystów i są gotowi sprzedać swój towar niemal za każdą cenę. Gdy mój autobus dojeżdża z powrotem do Asuanu, pilot prosi o niewielki napiwek dla kierowcy. Co łaska, ale nie mniej niż 10 funtów egipskich.

Pora na opuszczenie mojego opiekuna i przewodnika. Ahmed znika na chwilę w uliczkach starego miasta w Asuanie i wraca z niedużym pakunkiem. A w nim: skarabeusz – ma mi towarzyszyć w codziennym toczeniu swojej kuli, wznoszeniu się ze słońcem i opadaniu na odpoczynek, oraz krzyż egipski – będący kluczem Nilu, kluczem życia, który w starożytnym państwie oznaczał życie, zdrowie, płodność, nieśmiertelność. Dostaję jeszcze inne drobiazgi: zabutelkowaną kompozycję z piasku na półkę, coś na szyję, coś na rękę... Na tak zwaną wieczną rzeczy pamiątkę. ○

EFEKT SKALI

Samotny wielbłąd z kolosalną piramidą Mykerinosa i piramidami królowych w tle. Już tylko z tej jednej strony czuć oddech pustyni, bo Kair coraz bardziej zacieśnia pętlę wokół starożytnej nekropolii.



Renata Matusiak


Nauczycielka, przez dwa lata pracowała w Kirgistanie jako lektorka języka polskiego na Kirgisko-Rosyjskim Uniwersytecie Słowiańskim. Prowadziła audycje „Polonia” w Programie I Kirgiskiego Radia. Odwiedziła 58 krajów. Podróżuje sama, niskobudżetowo, najczęściej autostopem.



PLAŻA NA WYŁĄCZNOŚĆ

Aleksandra Synowiec





Tutaj nie trzeba być milionerem, by mieć swoją własną rajską plażę. Oaxaca ma ich mnóstwo, i to zupełnie za darmo. To miejsce sprawia, że możesz nie mieć w kieszeni prawie nic, a i tak czujesz się jak najbogatszy człowiek na świecie.

Nadają jej bajeczną nazwę – Usta Niebios. Mówią, że to rajska plaża, na której nie ma żywej duszy. To miejsce jednak tak naprawdę nie istnieje, a oni wymyślają je tylko po to, by zaimponować atrakcyjnej Hiszpance. Bohaterowie filmu „I twoją matkę też”, grani przez Gaëla Garcíę Bernala i Diego Lunę, nie wiedzą, co zrobić, gdy owa Hiszpanka prosi, by ją w to wymyślane miejsce zabrali. Jadą więc

HIPISI, EKOLODZY I CYRKOWCY

Linia brzegowa Meksyku ma prawie 10 tys. km. Turystyka plażowa wciąż koncentruje się w zaledwie kilku miejscach. Wszystko zaczęło się od Acapulco, potem powstało Cancún. Amerykańscy wczasowicze wybierają przede wszystkim Półwysep Kalifornijski oraz okolice miast Mazatlán i Puerto Vallarta. Wybrzeże stanu Oaxaca, choć coraz popularniejsze, wciąż pozostaje przyjemnie spokojne i nie-



FOT. ALEKSANDRA SYNOWIEC

przed siebie, nad Pacyfik, a w nocy skręcają w jakąś piaszczystą drogę. Rano budzą się i nie mogą uwierzyć własnym oczom. Okazuje się, że są na rajskiej plaży, na której nie ma żywej duszy. Zupełnym przypadkiem.

Bohaterowie filmu trafiają na jedną z plaż w meksykańskim stanie Oaxaca. Tutaj taka sytuacja nikogo nie dziwi. Oaxaca to miejsce, gdzie można ruszyć przed siebie, bez planu, by nagle, przypadkowo znaleźć się w raju. To miejsce, gdzie rzeczywiście można mieć rajska plażę tylko dla siebie.

zbyt tłoczne. Przyciąga inny typ plażowiczów niż wielogwiazdkowe resorty. Tutejsze plaże są wciąż ostoją dla hipisów, surferów i miłośników przyrody.

– Pierwszy raz przyjechałem w latach 70., Oaxaca była wtedy jednym wielkim ciągiem dziewiczych plaż – opowiada José Luis Casar, dzisiaj dziarski 64-latek, który w wiosce

SPANIE TANIE NIESŁYCHANIE

Skromna chatka bezpośrednio na plaży może kosztować nawet 40 zł za noc.



FOT. SHUTTERSTOCK

Zipolite otworzył pierwszy bar. Zanim to się stało, z garstką hipisów spał po prostu na piasku, w namiotach lub w hamakach. To dzięki nim Zipolite zostało pierwszą w Meksyku plażą nudystów, z której słynie zresztą do dzisiaj.

– Było tu zaledwie kilka rybackich domów, do których prowadziła jedynie szutrowa, wyboista droga. Kiedy zaktądaliśmy bar, nie było jeszcze prądu, łód przywoziliśmy na pace samochodu, z sąsiedniej miejscowości – wspomina z rozrzewnieniem. Dzisiaj Zipolite rozrosło

Philippe na przekór upałowi dziarsko uwija się w kuchni i opowiada mi o niechlubnej historii okolicy.

– *Kiedys miejscowa ludność żyła głównie z zabijania żółwi. Cała plaża była czerwona, spływała krwią. Śmierdziąto niesamowicie. Ziemię na plaży sprzedawano za grosze* – opowiada Philippe. Najgorzej było pięć kilometrów dalej, niedaleko Mazunte. Rocznie ginęło tu 30 tys. żółwi, a polowanie na nie było głównym źródłem utrzymania dla miejscowej ludności.



FOT. ALEKSANDRA SYDOMEK

ŻYCIE I WEGETACJA

Park Narodowy Lagunas de Chachahua to: 10 różnych typów wegetacji, 189 gatunków zwierząt, 246 gatunków kwiatów. I tylko nieliczne domy rybaków.

się, jest więcej barów, kilka hosteli i drewnianych chat do wynajęcia. Ale powietrze wciąż pachnie tą samą wolnością.

Leżymy w hamakach, w zbitym z kilku desek barze na plaży. Gości wita wbita na pałak krowia czaszka, palmowy daszek oraz Philippe, emerytowany Kanadyjczyk, który jest właścicielem tego prowizorycznego przybytku. Piwo kosztuje tu mniej niż w sklepie, a za przespanie się w namiocie płaci się ekwiwalent polskich pięciu złotych. Jest leniwe popołudnie, kilku podstarzałych hipisów patrzy w dal i prowadzi ospałe rozmowy o wszystkim i niczym.

Wszystko zmieniło się w latach 90., kiedy zabroniono handlu żółwimi jajami, skórą i mięsem. Wielu mieszkańców pozostało bez pracy. Z myślą o nich oraz dla zmazania dawnych grzechów powstało Centro Mexicano de Tortuga w Mazunte, ośrodek opieki nad żółwiami, które dzisiaj działa jako żółwie minizoo oraz placówka promująca edukację ekologiczną.

– *Mamy tutaj 22 gatunki żółwi, w tym dwa endemiczne dla wybrzeża Oaxaki. Są też dwa gigantyczne żółwie morskie, które mierzą ponad 2 m i ważą około 600 kg* – opowiada mi pracująca w ośrodku Martha Harfush. Centrum

rozsztają się, pracownicy konstruuja dla żółwi kolejne akwaria. Właśnie otworzono dla zwiedzających nową ścieżkę, powstają następne atrakcje. Chodzę między nimi i spoglądam żółwiom w ich mądre, wiekowe oczy. Spotykam kilku pracujących w ośrodku zagranicznych wolontariuszy. Opowiadają, że w Mazunte działa kobieca kooperatywa indiańska produkująca naturalne kosmetyki. Mieszka tu też grupa cyrkowców, która na przełomie lutego i marca organizuje słynny festiwal. Co noc

niegdyś kryjówką dla piratów. Nazwę miasta wywodzą natomiast od legendy o Indiance porwanej przez Andrew Drake'a i jego korsarzy. Dziewczyna uciekła im właśnie tutaj, a oni mimo długich poszukiwań nie mogli jej znaleźć. Przez lata nazywali to miejsce Escondida, właśnie przez ukrywającą się przed nimi Indiankę. Legenda przetrwała wieki, samo miejsce zaś na długo zostało naprawdę „ukrytym portem”. Do czasu, aż Puerto Escondido odkryli surferzy.



FOT. MICHAŁ STEC

są wtedy spektakle na boisku do koszykówki, a w ciągu dnia, na plaży – warsztaty i konkursy. W listopadzie jest z kolei festiwal muzyczny, również na plaży. Wtedy na chwilę w Mazunte robi się tłoczno.

SURFERZY, KROKODYLE I ŚWIECĄCY PLANKTON

Półtorej godziny drogi na zachód leży Puerto Escondido, czyli „ukryty port”, bo tak właśnie brzmi hiszpańska nazwa tego miasta. Miejscowi opowiadają, że tutejsze plaże były

– *Tutejsza fala jest słynna na cały świat. Załamuje się tak, że rozdziela się na lewo i na prawo. Tworzy się tunel, w którym może płynąć surfer. No i dno morskie nie jest skaliste, ale pokryte piaskiem. Dla surfera to ogromny luksus – mówi Antonio Díaz Pablo z biura podróży Vidasurf Ecotours, który od lat pracuje na wybrzeżu jako przewodnik i instruktor surfingu. Mówi, że Puerto Escondido przyciąga najlepszych surferów świata. Najłatwiej spotkać ich w listopadzie, kiedy odbywają się słynne międzynarodowe zawody. Dodaje, że na plaży Zicatela fale osiągają kilka metrów wysokości.*

STANIE NA OCEANIE

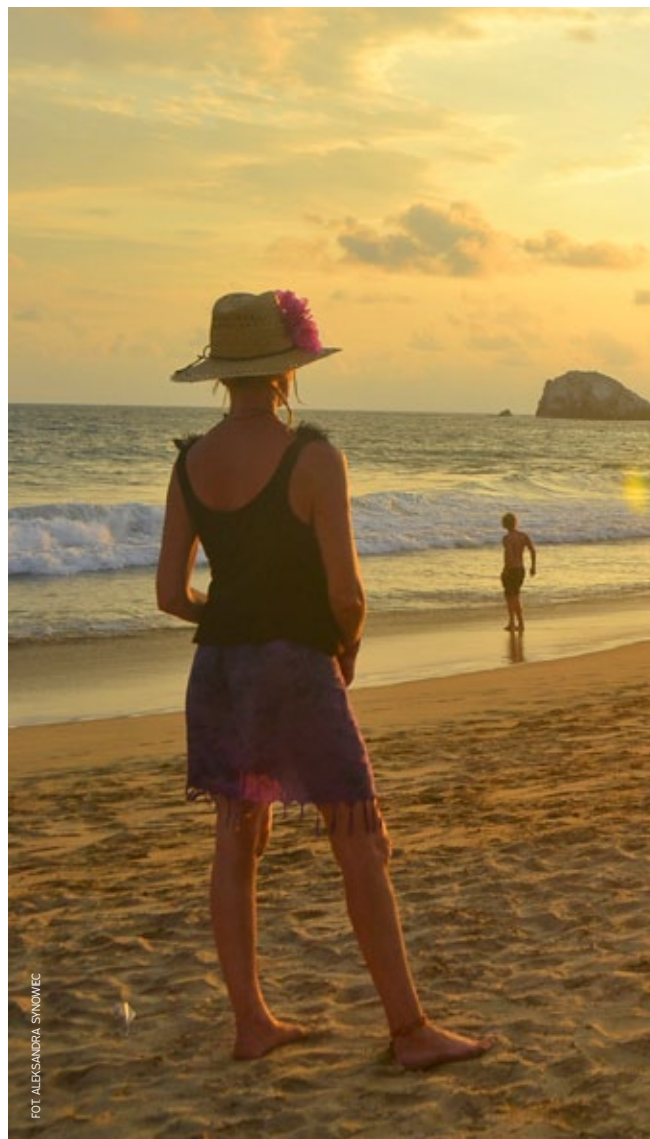
Puerto Escondido jest uważane za jedno z najlepszych miejsc do surfingu na świecie. Plaża Zicatela słynie z fali beach break.

Początkującym polecałby inne, spokojniejsze miejsca w mieście, na przykład malowniczą zatokę Carrizalillo. – *Ocean Spokojny wcale nie jest taki spokojny* – śmieje się.

– *Wsiadasz na łódkę i wszystko zostaje w tyle, cały świat. Od tej pory jesteś tylko ty i przyroda* – mówi Toño, gdy następnego dnia wybieramy się do Parku Narodowego Lagunas de Chachahua, oddalonego o kolejne półtorej godziny na zachód. Płyniemy przez tunele lasów namorzynowych, a silnik łodzi płoszy siedzące w ich gąszczu ptaki. Czasem tak dobrze wtapiają się w płataninę wystających z wody korzeni, że zauważam je dopiero, gdy podrywają się do lotu. Lecą przed nami barwnym kordonek, jakby prowadząc nas do wylotu tego tajemniczego labiryntu.

– *Żyje tu ponad 100 gatunków ptaków. Zimują też gatunki migrujące z Kanady i USA. Na łódce można spotkać pancerniki, borsuki, jelenie. A pod nami pływają ryby, kraby, krewetki. Od tych ostatnich swoją nazwę wzięła Chachahua, chacha to słowo oznaczające właśnie krewetkę. Nocą ujrzysz zaś niezwykle, świecący plankton. A, i są też oczywiście krokodyle. Za chwilę zobaczysz ich całe mnóstwo. I to naprawdę z bliska.* – Mruga do mnie Toño. Wzdrygam się na samą myśl o tego typu bliskim spotkaniu. Toño zauważa to i śmieje się ze mnie z całą serdecznością meksykańskiego dowcipnisa. Uspokaja mnie i wyjaśnia, że zanim dotrzemy na plażę, pokaże mi jeszcze *cocodrilario* – ośrodek opiekujący się krokodylami.

Po drodze mijają nas łodziami jedynie rybacy. – *Wielu z nich ma ciemną skórę. Okoliczne wioski zamieszkuje wielu Afromeksykanów. To niezwykle otwarci i przyjaźni ludzie* – opowiada Toño, gdy dobijamy do brzegu. Podnoszę wzrok i nie wierzę własnym oczom. Na plaży nie ma żywej duszy. Właściciele przykrytych palmowymi liśćmi *palapas* drzemią w hamakach i dopiero po jakimś czasie zauważają nasze przybycie. Zamawiamy nieprzyzwoicie tanie i nieprzyzwoicie smaczne ryby oraz owoce morza. Toño chwyta za deskę surfingową i biegnie do wody. Ja wpatruję się w majaczące na horyzoncie hipnotyzujące pasmo gór. Jest spokojnie, wolno, leniwie. Nic się nie dzieje, ale przecież działać nie musi.



FOT. ALEKSANDRA SYNOWIEC

KOSMICI I ZACHODY SŁOŃCA

Trochę zaczynam się spieszyć, żeby zdążyć na spektakl. Wracam do Mazunte, mojego ukochanego miejsca na wybrzeżu. Nie mogę przegapić słynnych zachodów słońca, które ogląda się na wierzchołku Punta Cometa. To takie lokalne kino. Widzowie zajmują miejsca na skałach cypelka. Zazwyczaj jest jakieś kilkadziesiąt osób, teraz – poza sezonem – kilkanaście. Wszyscy przychodzą oglądać wyjątkowy seans. Seans zachodu słońca.

Punta Cometa to najbardziej wysunięta w morze część wybrzeża, w czasach przedhiszpańskich była to ważna lokalizacja – strategiczna i rytualna. Dzisiejsi hipisi mówią,

SPOTKAJMY SIĘ NA ZACHODZIE

Gdzieś tam ludzie umawiają się do kina lub na piwo. Tu umawiają się na wspólne oglądanie zachodu słońca.



że to miejsce mocy, jedna z czakr świata. Lokalsi dodają, że ten punkt upodobali sobie do lądowań kosmici. Mówią, że też nie wierzyli w bajki o UFO. Dopóki nie zobaczyli ich na własne oczy.

Na seans zachodu słońca pędzę stromymi ścieżkami z plaży Mermejita. Po drodze mijam dwie małe, puste plaże. Przysiadam na konarze drzewa. Gdzieś pod skałą znajduję ogromną skorupę żółwia. Potem wspinam się z powrotem na klify i idę nimi wzdłuż wzburzonego, szalonego morza. Stoję na stromym cyplu, fale rozbijają się pod moimi stopami, a ja mam wrażenie, jakbym dotarła na sam szczyt świata. Patrzę i nie potrafię nazwać wszystkich odcieni koloru niebieskiego. Słońce powoli opada

za horyzont, a niebo i morze zarumieniają się obłądną ilością barw, za którymi nie nadąża mój wzrok ani umysł.

Z każdą minutą jest intensywniej, nie potrafię oderwać wzroku od tego widowiska. Jeszcze chwilka, już za momencik, już prawie... Słońce wpada w końcu do płonącej kolorami wody. Na niebo zachodzi ciemniejąca, wciąż fantastycznie barwna kurtyna. Wokół mnie rozlegają się brawa. To taki miejscowy zwyczaj: skoro oglądaliśmy spektakl zachodu słońca, to na zakończenie bije się brawo. Czasem są nawet owacje na stojąco. Wstajemy, nieco jeszcze oszołomieni. W milczeniu, w zadumie powoli wracamy. Do naszych chatek na plaży, do namiotów i hamaków. ○



Aleksandra Synowiec

Latynoamerykanistka, dziennikarka, autorka bloga Mexico Magico. W Meksyku od sześciu lat. Na ukożane plaże Oaxaki wraca co kilka miesięcy.



LUCERNA

miasto aniołów

Bartosz Król



FOT. SHUTTERSTOCK

Z Lucerną jest trochę jak ze szwajcarskimi czekoladkami – trudno powiedzieć „dość”. Kiedy człowiek zobaczy jakieś miejsce i wydaje się, że już nic piękniejszego mu się nie trafi, za chwilę widzi coś, co jeszcze mocniej działa na jego zmysły.



Malowniczo położona Lucerna w wielu przewodnikach jest określana mianem „miasta światła”. Równie dobrze można ją jednak nazywać „miastem aniołów”. I to z kilku powodów. Po pierwsze, jak mówi legenda, to anioł miał wskazać wędrującym osadnikom miejsce, gdzie należy się zatrzymać nad wodami jeziora i wybudować gród. Po drugie, to bez wątpienia anielskie moce musiały stać za powstaniem tych wszystkich atrakcji, które można obecnie podziwiać w mieście mającym około 80 tys. mieszkańców.

ZYGZAKOWATY MOST

W Lucernie urzeka już samo jej położenie. Nie dość, że miasto znajduje się na zachodnim brzegu Jeziora Czterech Kantonów, nad zatoką, po obu stronach rzeki Reuss, to jeszcze jest usytuowane u stóp wyglądającej niezwykle majestatycznie góry Pilatus. Mało kto zdaje sobie przy tym sprawę, że Lucerna ma tak bogatą historię – jej początki sięgają bowiem niewielkiej wsi założonej w VIII w. przy klasztorze benedyktynów. Okres prawdziwej prosperity nastąpił jednak dopiero w XIII w., gdy przez miejscowość zaczął prowadzić szlak handlowy

wytyczony przez Przełęcz Świętego Gotarda – czyli trakt łączący Włochy z Niemcami oraz Niderlandami. To właśnie wtedy w Lucernie zaczęli zatrzymywać się kupcy, co zaowocowało rozkwitem obrotu różnymi towarami.

Wystarczy krótki spacer uliczkami Starego Miasta, aby oczami wyobraźni zobaczyć, jak wyglądało tam życie przed kilkoma stuleciami. Zresztą wiele nazw ulic i placów wywodzi się z dawnych czasów. Dość wspomnieć o Rynku Winnym, Rynku Zbożowym czy Placu Jeleni. Inna sprawa, że to nie place, skądinąd bardzo klimatyczne i otoczone misternie zdobionymi kamienicami, stanowią największą wizytówkę starówki w Lucernie. To miano zarezerwowane jest przede wszystkim dla dwóch drewnianych mostów: Kaplicznego i Plewnego (znanego też jako Młyński).

Pierwszy z nich uchodzi za najstarszy w całej Europie most drewniany (jest datowany na 1333 r.). Jego wyjątkowość wcale się na tym nie kończy, bo rzadko ogląda się przecież mosty, które nie łączyłyby dwóch brzegów w możliwie najkrótszy sposób. A tak jest właśnie w przypadku Kapellbrücke, który przed wiekami był częścią miejskich fortyfikacji i widziany z góry wraz z dwoma brzegami



FOT. SHUTTERSTOCK

tworzy literę „Z”. Ta jedyna w swoim rodzaju konstrukcja przetrwała bez szwanku różne koleje losu aż do lata 1993 r., gdy dokładnie w 660. rocznicę oddania mostu do użytku na łódce przycumowanej do jednego z filarów wybuchł pożar. Akcja ratownicza przebiegła bardzo sprawnie, ale i tak ogień strawił część dachu i jedno z przęseł. Zniszczeniu uległ też znajdujący się tam fragment bezcennych

malowideł o charakterze religijnym. Na szczęście, dzięki starannej rekonstrukcji, ślady zniszczeń zostały usunięte i tylko wprawne, świadome tego, co się stało, oko dostrzeże jakiegokolwiek różnice.

Most Plewny (Spreuerbrücke) jest niewiele młodszy, bo pochodzi z 1408 r., i niewiele mniej urokliwy. Pod jego spadzistym dachem można z kolei zobaczyć wyjątkową serię

A ŚRODKIEM REUSS PŁYNIE

Widok na rzekę Reuss i Stare Miasto. Na prawym brzegu wyróżnia się jezuicki kościół św. Ksawerego – największa barokowa świątynia w Szwajcarii.

R E K L A M A



Chiruca

Weź udział w konkursie

i wygraj atrakcyjne nagrody!

KONKURS z okazji **20-lecia**
obecności marki **Chiruca** w Polsce!

NAGRODY

**NAGRODA
GŁÓWNA**

buty
Storm Gore-Tex
Surround

**20
PLECAKÓW**
jeden plecak
przyznawany
co tydzień

**20
PIERWSZYCH
ZGŁOSZEŃ**
w danym tygodniu
nagradzamy
KOSZULKAMI

Szczegóły konkursu na stronie:

www.chiruca.pl

facebook.com/ChirucaOutdoorPL



KOLEJ NA LUCERNĘ

Zabytkowy dworzec kolejowy. Lucernę dzieli od Warszawy 1400 km, czyli 14–15 godzin jazdy autem. Dużo szybszym sposobem jest lot do Bazylei (2 godz.), a następnie skorzystanie z pociągu (60–75 min, kursy odbywają się co godzinę).

obrazów z pierwszej połowy XVII w., które przedstawiają śmierć tańczącą z reprezentantami różnych zawodów i stanów.

BARDZO SMUTNY LEW

Z widokiem drewnianych mostów nieco kłóci się kamienna, ośmiokątna wieża, która wyrasta z wody w ich sąsiedztwie. To Wieża Ciśnień – jeszcze starsza od wspomnianych mostów, bo wybudowana już w 1300 r. – której mury kryją niejedną zagadkę. Obecnie służy jako siedziba miejskiego archiwum, ale dawniej znajdowało się tam między innymi więzienie wraz z izbą tortur.

Wiele widziały także pozostałości fortyfikacji z dziewięcioma charakterystycznymi basztami, które chroniły miasto od północy – strony lądu. Mur, zwany Museggmauer, ma 850 m długości, a pierwsze jego elementy pochodzą z połowy XIV w. Później cała

konstrukcja była systematycznie wzmocniana i podwyższana. Aby przekonać się, ile pracy i budulca pochłonęła, najlepiej przespacerować się wzdłuż jej fundamentów i wejść na wieżę Männliturm, gdzie wyznaczono punkt widokowy dla turystów.

Symbolem miasta jest również pomnik Umierającego Lwa (ewentualnie – Lwa Lucerny). To właśnie o tej kamiennej rzeźbie Mark Twain, słynny amerykański pisarz, wspominał w książce „Włóczęga za granicą”, że jest to „najsmutniejszy i najbardziej poruszający kawałek kamienia na świecie”. Dzieło zaprojektował sam Bertel Thordvaldsen, jeden z najbardziej cenionych rzeźbiarzy epoki klasycyzmu. Na opłacenie jego robocizny władzom miasta zabrakło już jednak pieniędzy, i fizycznym wykonaniem zajął się jeden z miejscowych artystów. Efekt jest oszałamiający, choć sam duński maestro, kiedy zobaczył gotowy

pomnik, miał podobno nieco zastrzeżeń – między innymi do wykończenia grzywy lwa.

Wykuty w litej skale pomnik przedstawia bowiem przebitego włócznią, konającego króla zwierząt, który osłania znajdującą się za nim tarczę z herbem korony francuskiej. W ten sposób lokalne władze postanowiły upamiętnić śmierć blisko 800 gwardzistów z regionu, którzy do samego końca bronili francuskiego monarchy w czasie wielkiej rewolucji. Siłę przekazu dodatkowo wzmacnia łacińska sentencja wyryta nad lwem – „*Helvetiorum Fidei ac Virtuti*” („Szwajcarskiej wierności i odwadze”). Pod zwierzęciem wykuto natomiast imiona i nazwiska ponad 40 oficerów poległych 10 sierpnia 1792 r.

SZWAJCARSKIE TROPIKI I RAJ DLA MELOMANÓW

Gdy już opadną emocje związane z widokiem lwa i wspomnieniem krwawego okresu rewolucji, warto wstąpić do znajdującego się nieopodal ogrodu Lodowcowego. To właśnie tam można podziwiać największe geologiczne osobliwości Lucerny. Mowa o potężnych skalnych studniach, trafnie zwanych „garnkami

olbrzymów”. Są to pozostałości po lodowcu, który zaatakował te tereny, gdy 20 mln lat temu w najlepsze rozwijała się tam tropikalna roślinność, a krajobraz mało różnił się od tego, który obecnie można oglądać na Hawajach czy Karaibach.

W skład udostępnionego do zwiedzania kompleksu wchodzi również muzeum oraz niesamowity labirynt Alhambra, gdzie łatwo się zgubić pomiędzy blisko setką lusterek. Ciekawym miejscem jest także usytuowana w pobliżu Panorama Bourbaki. Tam z kolei można podziwiać panoramiczny, 112-metrowy obraz, który upamiętnia odwrót armii francuskiej zwyciężonej przez Prusaków w 1871 r. (jej żołnierze poprosili później o azyl w Szwajcarii). Jego realizm jest doprawdy porażający, ale nic w tym dziwnego, bo autor malowidła – Edouard Castres – był świadkiem tamtych wydarzeń jako sanitariusz Międzynarodowego Czerwonego Krzyża.

Trzeba podkreślić, że sztuki na najwyższym światowym poziomie jest w Lucernie pod dostatkiem. Można z nią obcować choćby w nowoczesnym Centrum Kulturalno-Kongresowym, które znajduje się w sąsiedztwie dworca kolejowego. Obiekt dysponuje trzema ogromnymi salami koncertowymi, gdzie regularnie odbywają się międzynarodowe festiwale – na

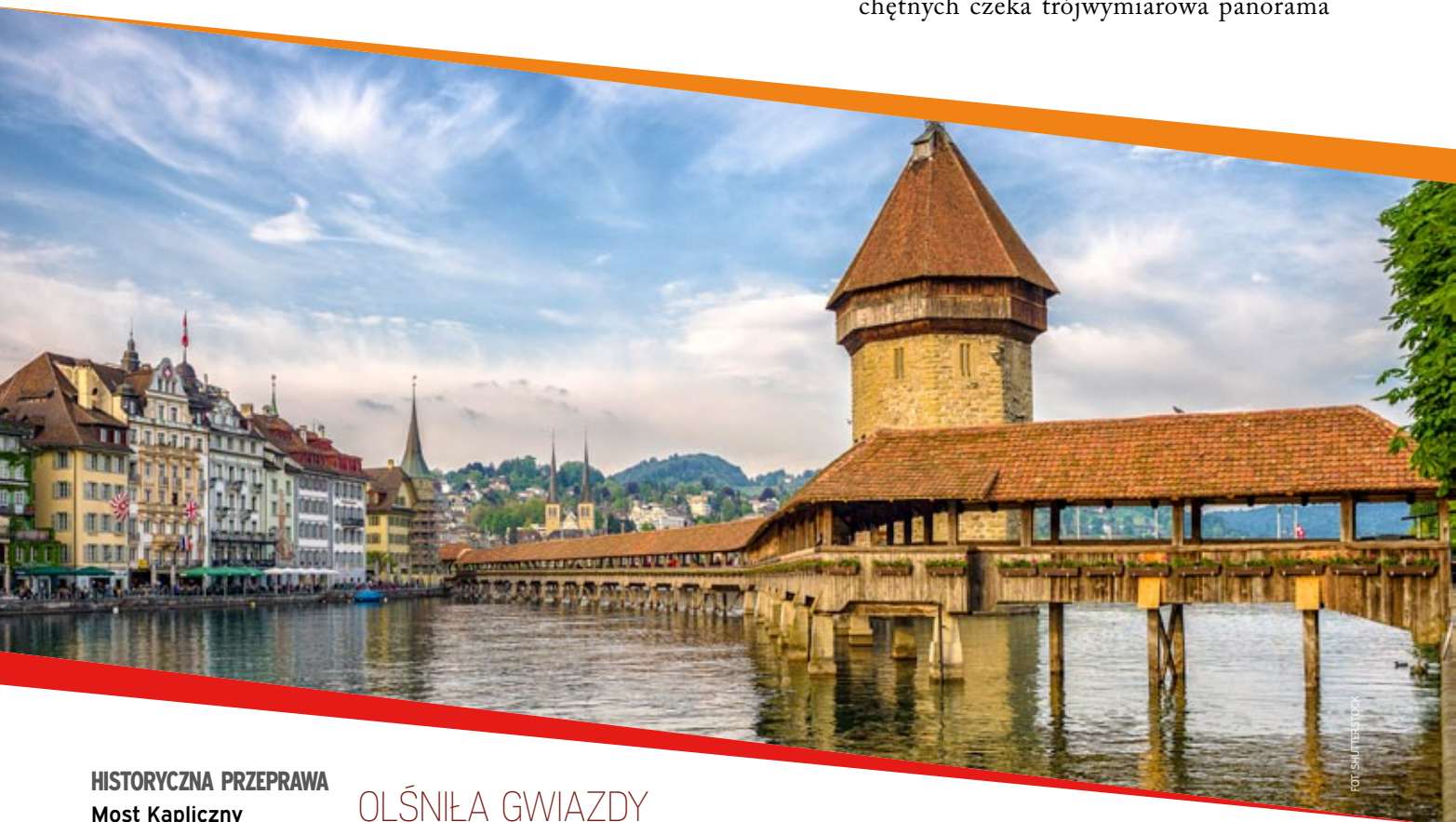
WYRZUT SUMIENIA Z KAMENIA

Pomnik z piaskowca powstał z inicjatywy Karla Pfyffera – oficera gwardii szwajcarskiej, który w czasie, gdy odbyła się walka z rewolucjonistami, przebywał... na urlopie.



czele z Lucerne Festival poświęconemu muzyce klasycznej i Lucerne Blues Festival. Na czwartym piętrze tego gmachu znajduje się ponadto Muzeum Sztuk Pięknych, którego chlubą są okazałe zbiory sztuki szwajcarskiej z XVIII–XX w. Placówka często organizuje też czasowe wystawy sztuki współczesnej, które z pewnością zainteresują miłośników gatunku.

Spośród godnych polecenia muzeów śmiało można również wymienić Muzeum Hansa Erniego (zmarłego przed trzema laty szwajcarskiego grafika, rzeźbiarza i malarza) czy też Muzeum Richarda Wagnera, który w Lucernie kończył pracę nad operą „Tristan i Izolda”. Ciekawym przeżyciem jest także wizyta w Alpineum, gdzie na wszystkich chętnych czeka trójwymiarowa panorama



HISTORYCZNA PRZEPRAWA

Most Kapliczny ma 204 m długości. Wśród jego krokwi można dopatrzeć się ponad setki malowideł, które opowiadają historię samej Lucerny i całej Szwajcarii, a także opisują żywoty lokalnych świętych: Lodegara i Maurycyego.

OLŚNIĘŁA GWIAZDY

Koniecznym jest też wstąpić do Galerii Rosengart. W tej prywatnej placówce jest wystawionych przeszło 300 prac, w posiadanie których rodzina Rosengartów weszła przez ostatnie 80 lat. Większość z nich stanowią obrazy takich sław, jak: Cézanne, Kandinsky, Matisse, Monet, Renoir oraz Picasso i Klee. Angela Rosengart – obecnie gospodyni muzeum i sędziwa staruszka – w młodości była jedną z modelek Picassa. Przy odrobinie szczęścia podczas wizyty w placówce można ją spotkać i posłuchać jej nieprawdopodobnych wręcz opowieści o obcowaniu ze sztuką. Mało tego, są osoby, które wręcz przyznają się otwarcie, że rozmowa z dziarską seniorką zupełnie zmieniła ich postrzeżenie malarstwa...

Alp. Ponadto w Lucernie ma siedzibę Szwajcarskie Muzeum Transportu, czyli największa na Starym Kontynencie placówka poświęcona tej dziedzinie życia. Można tam zobaczyć przeróżne pojazdy – tak jeżdżące, jak i latające. Jego pracownicy z dumą zaznaczają, że w przestronnych pawilonach udało się zgromadzić niemal wszystko, czym człowiekowi zdarzało się podróżować. I żartują, że brakuje tam jedynie... latającego dywanu.

Pozytywne recenzje zbiera również Muzeum Historyczne, wypełnione strojami i zbrojami z minionych epok oraz odpowiednio zrekonstruowanymi wnętrzami. Trudno także narzekać na wizytę w Muzeum



Przyrodniczym, oddalonym o kilka minut spaceru wzdłuż południowego brzegu rzeki Reuss. Nie da się też przejść obojętnie wokół najważniejszych budowli sakralnych Lucerny. A na takie miano zasługują minimum trzy świątynie w obrębie historycznego centrum. Kościół Franciszkanów z XIII w. – jako najstarszy. Kościół św. Leodegara z XVII w. – jako najpiękniejsza świątynia renesansowa w całej Szwajcarii. I wreszcie kościół Jezuitów z XVII w. – jako pierwsza barokowa świątynia w całym kraju. Niektórzy do tej trójki dodają jeszcze kościół św. Mateusza, który wznosi się w północnej części Starego Miasta...

Znakomitym uzupełnieniem pobytu w Lucernie będzie rejs po Jeziorze Czterech Kantonów na pokładzie jednego z zabytkowych parowców. Najlepiej połączyć go z kolacją, podczas której są serwowane ulubione dania Szwajcarów na bazie sera żółtego – fondue i raclette. Delektując się nimi i oglądając przepięknie oświetlone zabudowania, jeszcze łatwiej zrozumiemy, dlaczego pod ogromnym wrażeniem miasta byli między innymi: królowa angielska Wiktoria, Johann Wolfgang Goethe, Victor Hugo, Lew Tołstoj, Albert Einstein czy wspomniani już Richard Wagner i Mark Twain. Jeśli oślniła takie gwiazdy, z pewnością zachwyci każdego. ◯



Bartosz Król

Łodzianin, miłośnik zwierząt i muzyki rockowej. Z wykształcenia prawnik, z zawodu dziennikarz, z zamiłowania podróżnik. Współpracuje z tytułami sportowymi, podróżniczymi i lifestyleowymi. Był w 50 krajach i planuje kolejne wojaże. Potrafi docenić także piękno ojczystych stron, po których wędruje z aparatem w dłoni.



FOT. BARTOSZ KRÓL

GEOSKOP

OBEJRZANE PRZECZYTANE ZASŁYSZANE

POD PATRONATEM POZNAJ ŚWIAT I NIE TYLKO

WINTER CAMP

Zbliża się 9. edycja największego zimowego biwaku szkoleniowego w Polsce. Na zasypanym śniegiem polu namiotowym, z pięknym widokiem na Tatry, w dniach 8–11 lutego zamieszka ponad 200 osób. W ramach specjalnej edycji Wintercamp Family całe rodziny przyjadą się uczyć bezpiecznego i aktywnego wypoczynku w górach. Szkolenia w zakresie zagrożenia lawinowego oraz umiejętności budowy awaryjnego biwaku i bezpiecznego obozowiska będą prowadzone przez profesjonalistów: ratowników GOPR i członków Polskiego Związku Alpinizmu. Bloki szkoleń obejmują



także kursy skitourowe, medyczne i testowanie nowoczesnego sprzętu outdoorowego. Będzie to także okazja, aby postawić pierwsze kroki we wspinaczce lodowej na sztucznej ścianie.

Tegoroczny Wintercamp będzie wyjątkowy ze względu na trwającą w tym samym czasie Zimową Narodową Wyprawę na K2. Jej uczestnikami są również goście poprzednich edycji biwaku – Janusz Gołąb, Adam Bielecki, Krzysztof Wielicki i Dariusz Załuski. Organizatorzy zapowiadają bieżącą relację z wydarzeń w Karakorum. wintercamp.org.pl

WŁÓCZYKIJ

12. GRYFIŃSKI FESTIWAL MIEJSC I PODRÓŻY

12. Gryfiński Festiwal Miejsc i Podróży Włóczykij odbędzie się w terminie od 22 lutego do 4 marca. Do Gryfina przyjedzie ok. 100 prelegentów i zostanie zorganizowanych ponad 100 wydarzeń. Oprócz prezentacji podróżniczych nie zabraknie koncertów, degustacji potraw, wycieczek krajoznawczych, pokazów filmów, warsztatów dla dzieci i młodzieży, ekstremalnego rajdu na orientację (dystanse 25 km i 50 km) czy Balu Włóczykija.

Z opowieściami z różnych zakątków świata zaprezentują się m.in.: Kamila Kielar (przeszła 4300 km amerykańskim szlakiem Pacific Crest Trail), Michał Woroch (jeździ na wózku inwalidzkim, przebył drogę przez dwie Ameryki), Agnieszka Dziadek (jako pierwsza Polka przeszła 3353 km nowozelandzkim szlakiem Te Araroa), Magdalena Konik (opowie o najdalszej części gruzińskiego Kaukazu), Bartosz Malinowski (kolejna wyprawa Wielkim Szlakiem Himalajskim). Na scenie Włóczykija wystąpią m.in. Raz Dwa Trzy, Ragnar Ólafsson, a festiwalowe autobusy będą wyjeżdżać w kierunku niemieckiego Greifswaldu czy ziemi łobeskiej. www.wloczykij.com



NA SZAGE

W Poznaniu w dniach 1-4 lutego odbędzie się kolejna edycja festiwalu Na Szage, a w niej między innymi: konkurs na najciekawszą opowieść z podróży, warsztaty tematyczne i spotkania dla

dzieci, wystawy zdjęć, spotkania autorskie z książką podróżniczą, filmy oraz prezentacje. Goście usłyszą o trudnym życiu w D.R. Konga, zanurzą się w kolory Birmy, przemierzą bezdroża górskich obszarów Chile, Stanów Zjednoczonych, Rosji i Mongolii – pieszo, z plecakiem lub na rowerze, zdobędą szczyty Kirgizji, poznają krajobrazy i przyrodę Polski. www.festiwalnaszage.pl

ŚLADAMI MARZEŃ

Na Międzynarodowych Targach Poznańskich od 9 do 11 lutego odbędzie się szósty Festiwal Podróżniczy Śladami Marzeń. Wśród zaproszonych 26 prelegentów są m.in. Bartosz Stróżyński, Tomasz Owsiany, Jakub Rybicki i Adam Szostek. 10 lutego odbędzie się podróżnicze afterparty w klubie akademickim Trops wraz z koncertem berlińskiego zespołu Riders Connections. Podczas festiwalu będzie można skorzystać z konsultacji medycznych udzielanych przez lekarzy medycyny podróży, przetestować

sprzęt fotograficzny, wziąć udział w warsztatach fotograficznych oraz językowych. www.sladamimarzen.pl



ŚREDZIANIE W AMERYCE



Na pierwszą wyprawę pod skrzydłami Klubu Szalonego Podróżnika wyrusza 6-osobowa grupa śmiałków, z prezesem klubu Grzegorzem Posałą na czele. Reszta ekipy to Natalia Wojtyńska, Maja i Damian Kamińscy, Konrad Szczepaniak oraz Michał Łukowski. Uczestnikom przyświecają

dwa cele. Pierwszy to kontynuacja projektu Ku Koronie Ziemi i zdobycie najwyższego szczytu Ameryki Południowej (Aconcagua, 6962 m n.p.m.), którego podejmują się Maja i Damian Kamińscy. Drugi cel to znalezienie w Ameryce Południowej miasta partnerskiego dla Środy Wielkopolskiej.



FOT. ARCHIWUM MAI I DAMIANA KAMIŃSKICH

GDYŃSKIE WARSZTATY Z PODRÓŻNIKAMI



FOT. ARCHIWUM WARSZTATÓW

Miasto Gdynia i Hufiec Związku Harcerstwa Polskiego Gdynia zapraszają na 99. spotkanie Gdyńskich Warsztatów Podróżniczych „Wydź w Świat” z Bartkiem Sabelą. Podróżnik jest autorem trzech książek: „Może (morze) wróci”, „Wszystkie ziarna piasku. Reportaż z terenów Sahary Zachodniej” oraz „Afronaucci. Z Zambii na Księżyc”. Prelegent opowie o swoich doświadczeniach z podróżowania do Demokratycznej Republiki Konga, gdzie pracuje nad nowym tematem. Spotkanie odbędzie się

23 lutego w Pomorskim Parku Naukowo-Technologicznym w Gdyni. www.warsztatypodroznicze.pl

WÓZKIEM PRZEZ ŚWIAT



To opowieść o podróżowaniu przez życie i świat na czterech kółkach, ale nie pięknym i wygodnym autem. To kulanie się na 150-kilowym elektrycznym wózeczku inwalidzkim. Wbrew utartym schematom i z pełnym uśmiechem na twarzy. Wszystko to przesiąknięte radością z życia, ale i ciężkimi chwilami walki z niezwykłą chorobą. Wyprawy, które między innymi znajdują się w książce, to: egzotyczna Japonia, Dolina Śmierci, za kołem polarnym, Nowy Jork, Rzym, Paryż. Wydawnictwo Ridero.

TOUR SALON

Podczas kolejnej edycji targów turystycznych Tour Salon, która odbędzie się na Międzynarodowych Targach Poznańskich w dniach 9–11 lutego, powstaną aż dwie sceny: Scena Duża (w Alei Lipowej) i Scena Mała (w pawilonie 7). Odwiedzający targi spotkają się ze znanymi podróżnikami. Po raz czwarty do Poznania przyjadą też blogerzy na Tour Salon Blog Meeting. Kamila i Paweł z „Ready for Boarding” odpowiedzą na pytanie: „Czy warto prowadzić bloga podróżniczego?”. Z kolei Daria Strączyńska, blogerka z „Poboczem drogi” pokaże ciekawy sposób na zwiedzanie Polski – aktywną turystykę przyrodniczą.



Uczniowie, którzy w ostatni dzień przed feriami (w Wielkopolsce) przyjadą na targi, wezmą udział w interaktywnych zajęciach np. z historii o Powstaniu Wielkopolskim. Będzie też multidyscyplinarna lekcja o historii i przyrodzie Fortów Poznańskich. Planowane są także lekcje biologii z opiekunami zwierząt z poznańskiego zoo.



FOT. ARCHIWUM TARGÓW

FORD KUGA



ANALITYCY PROGNOZUJĄ, ŻE POPYT NA SUVY DO 2020 R. WZROŚNIE W EUROPIE O PONAD 25 PROC. FORD WPISUJE SIĘ W TE PROGNOZY WYJĄTKOWO ATRAKCYJNĄ GAMĄ MODELI O CHARAKTERZE SPORTOWO-REKREACYJNYM. JEDNYM Z NICH JEST FORD KUGA – W NOWEJ ODSŁONIE KUSI ZAAWANSOWANYMI ROZWIĄZANAMI TECHNOLOGICZNYMI, NOWYMI LINIAMI STYLIZACYJNYMI I JESZCZE LEPSZYMI WŁAŚCIWOŚCIAMI JEZDNYMI.

Popularny Ford Kuga nie tak dawno przeszedł delikatne zmiany stylizacyjne i znaczące zmiany w kwestii technologii. Z zewnątrz Kuga przyciąga wzrok bardziej drapieżnym i wyrazistym charakterem. Podkreślają go jeden z 13 oryginalnych kolorów lakieru nadwozia oraz atrakcyjne wzory obręczy aluminiowych w rozmiarach 17, 18, a nawet 19 cali. Najbardziej wymagającym Ford oferuje Kugę w dwóch wyróżniających się liniach stylizacyjnych.

Pierwsza z nich – to inspirowana sportowymi modelami Forda Kuga ST-Line – najbardziej dynamiczna odmiana. Odważną stylizację nadwozia uzupełniono sportowym projektem foteli oraz sztywniejszym zawieszeniem. Kuga ST-Line gwarantuje odpowiednią dawkę emocji kierowcom oczekującym od SUV-a sportowego zacięcia. Z kolei odmiana Vignale to ukłon w stronę luksusu – wyjątkowo prestiżowe wcielenie Kugi. Wyróżnia się wyrafinowanymi dodatkami, z niezwykłą pikowaną skórzaną tapicerką Windsor na czele.

Wśród technologicznych wyróżników Forda Kuga należy wymienić szybki i intuicyjny w obsłudze nowy system multimedialny SYNC3. Nie tylko pozwala on skutecznie sterować podstawowymi systemami samochodu za pomocą komend głosowych, ale również zapewnia pełną integrację ze smartfonem (Apple CarPlay oraz Android Auto). To prosty w obsłudze i niezwykle praktyczny system, którego funkcjonalność można rozszerzyć licznymi aplikacjami (np. Spotify).

Z praktycznych dodatków warto wspomnieć o klapie bagażnika otwieranej automatycznie przez ruch stopy pod zderzakiem, elektrycznie wysuwany haku holowniczym czy kluczyku, który można zaprogramować tak, aby ograniczyć pewne funkcje samochodu (głośność audio czy prędkość maksymalną), kiedy powierzamy go innym osobom.

W subtelnie odświeżonym, komfortowym i przestronnym wnętrzu Forda Kugi odnajdziemy wiele zaawansowanych systemów wsparcia kierowcy. Okazały się przydatne zarówno w długiej trasie, jak i w codziennych zmaganiach w mieście. Kuga jest w stanie sama zaparkować prostopadle i równolegle, ostrzec kierowcę przed innymi pojazdami podczas wyjazdu tyłem z miejsca parkingowego, czy też zapobiec kolizjom przy małych prędkościach. W trasie z pewnością docenimy inteligentny tempomat samoczynnie dbający o utrzymanie bezpiecznej odległości od poprzedzającego pojazdu. W połączeniu

z zaawansowanym systemem utrzymywania pasa ruchu znacząco odciąża kierowcę w autostradowych wojażach.

Podczas wypadów za miasto komfort podróży podniosą adaptacyjne światła automatycznie dostosowujące się do warunków drogowych, świetne wyciszenie wnętrza oraz dynamiczne silniki benzynowe i wysokoprężne o mocach od 120 do 182 KM. To również niezwykle oszczędne jednostki – najbardziej ekonomiczna odmiana Kugi spala średnio zaledwie 4,4 l/100 km.

O pewność prowadzenia Forda Kuga w każdych warunkach drogowych nieustannie troszczy się inteligentny system napędu na wszystkie koła. Stale monitoruje sytuację na styku opon z asfaltem i w razie potrzeby potrafi dokonać korekty przeniesienia napędu 20-krotnie szybciej, niż trwa mrugnięcie okiem. Dzięki temu zwiększa bezpieczeństwo jazdy i jeszcze bardziej wyostża wyróżniające się na tle innych SUV-ów właściwości jezdne Kugi.



INFORMACJE O FIRMIE FORD MOTOR COMPANY

Ford Motor Company z centralą w Dearborn w stanie Michigan w USA jest globalną marką oferującą samochody i usługi mobilne. Firma zatrudnia około 202 tys. pracowników i prowadzi produkcję w 62 zakładach na całym świecie, zajmuje się projektowaniem, produkcją, marketingiem, finansowaniem i serwisowaniem całej gamy samochodów osobowych, użytkowych oraz SUV-ów marki Ford i luksusowej marki Lincoln. Rozszerzając swoją działalność, Ford intensywnie pracuje i inwestuje w elektryfikację pojazdów, systemy autonomicznej jazdy i rozwój mobilności. Firma świadczy usługi finansowe za pośrednictwem Ford Motor Credit Company. Więcej informacji na temat Forda, produktów firmy oraz oddziału Ford Motor Credit Company na stronie www.corporate.ford.com.

Ford of Europe wytwarza, sprzedaje i serwisuje pojazdy marki Ford na 50 indywidualnych rynkach, zatrudnia około 52 tys. pracowników we własnych oddziałach i łącznie około 68 tys. osób po uwzględnieniu spółek typu joint venture oraz działalności nieskonsolidowanej. Oprócz spółki Ford Motor Credit Company usługi firmy Ford of Europe obejmują dział Ford Customer Service Division oraz 24 oddziały produkcyjne (16 spółek całkowicie zależnych lub skonsolidowanych typu joint venture oraz 8 nieskonsolidowanych typu joint venture). Pierwsze samochody marki Ford dotarły do Europy w 1903 r. – w tym samym roku powstała firma Ford Motor Company. Produkcja w Europie ruszyła w 1911 r.

WŚRÓD ŁAGODNYCH OLBRZYMÓW

Ewa Serwicka





Dwa gorylątka bawią się bez troski i nie zwracają uwagi na przyglądających im się ludzi. Kawatek dalej dorośli członkowie stada żerują, zrywają z drzew liście i dojrzałe owoce. Stoimy w odpowiedniej odległości, pilnowani przez strażników parku. Nie chodzi im bynajmniej o nasze bezpieczeństwo, tylko o dobro zwierząt, które są na krawędzi wyginięcia. Na świecie żyje jedynie około 880 osobników, a ja mam okazję podglądać kilkoro z nich.



FOT. EWA SERWICKA



FOT. EWA SERWICKA

Dzień wcześniej docieram do miejscowości Kisoro u wrót do Parku Narodowego Mgahinga Gorilla w Ugandzie. To jeden z trzech krajów, w których można wybrać się na tropienie goryli górskich. Pozostałe to Rwanda i Demokratyczna Republika Konga, a Kisoro znajduje się nieopodal granic z obydwooma tymi państwami. Poza pasmem górskim Wirunga, które jest objęte ochroną w ramach parków narodowych Mgahinga Gorilla (Uganda), Wirunga (Demokratyczna Republika Konga) i Wulkanów (Rwanda), goryle spotkać też można w ugandyjskim Parku Narodowym Nieprzenikniony Las Bwindi.



SREBRNOGRZBIETY RZĄDZI

W Kisoro zaglądamy do siedziby organizacji Uganda Wildlife Authority, by zaopatrzyć się w pozwolenie na tropienie tych wspaniałych zwierząt. Jestem tu w porze deszczowej, więc nie ma problemu, by otrzymać je od ręki. W porze suchej, kiedy turystów jest więcej, trzeba czasami zrobić rezerwację z kilkutygodniowym wyprzedzeniem. Na terenie Ugandy żyje dwanaście oswojonych grup goryli, a jedną grupę może odwiedzić maksymalnie osiem osób dziennie, co oznacza, że każdego dnia nie więcej niż dziewięćdziesiąt sześć osób może stanąć oko w oko z gorylami górskimi.

Fakt, że goryle są oswojone, nie oznacza wcale, że można do nich podejść, pogłaskać je czy nakarmić. Taka grupa jest po prostu przyzwyczajona do obecności ludzi na tyle, że zachowuje się naturalnie, obojętnie, nie jest podenerwowana czy przestraszona i daje się obserwować. Jedna taka rodzina w Ugandzie żyje w Mgahinga, pozostałe jedenaście – w Bwindi. Każdy goryl z oswojonej grupy ma imię, a strażnicy są w stanie je wszystkie rozpoznać.

Następnego dnia wczesnym rankiem spotykamy się ze strażnikami przy wejściu do parku narodowego. Nasza grupa liczy zaledwie kilka osób – troje turystów, w tym ja, oraz kilkoro strażników, którzy będą nam towarzyszyć w poszukiwaniu goryli. Przed

wyściem w góry musimy jednak wysłuchać, jak należy się zachowywać w obecności zwierząt, co nam wolno, a czego absolutnie nie można robić. Po briefing'u wyruszamy na poszukiwania. Kilkadziesiąt minut wspinamy się mozolnie przez gęsty las o śliskim od deszczu podłożu. Docieramy do tropicieli, którzy wyszli jeszcze wcześniej, by zlokalizować naszą rodzinę goryli.

Chwilę przedzieramy się przez zarośla i nagle dostrzegamy łagodne olbrzymy, jak w Ugandzie określa się goryle górskie. Rzeczywiście, są potężne, to w końcu jedne z największych małp człekokształtnych – waga samców dochodzi nawet do 195 kg, a samice ważą około 100 kg. Mają ciemne, wręcz czarne gęste futro, jedynie u dojrzałych samców na grzbiecie sierść zmienia kolor na srebrzysty. Kształt nosa goryli jest jak ludzkie odciski palców – każdy jest unikalny i można na ich podstawie rozpoznać danego osobnika.

Mimo rozmiarów goryle górskie są zwierzętami łagodnymi i przyjaznymi. Żyją w stadach i są uznawane za bardzo uspołecznione. Silniej związane są ze swoją własną rodziną niż z terytorium, dlatego dość często przemieszczają się po całym sporym terenie. Grupa składa się z przywódcy stada, którym jest najsilniejszy, dominujący samiec ze srebrnymi włosami na grzbiecie, kilku samic oraz potomstwa. Towarzyszą im inne samce, na przykład dawny przywódca pokonany przez nowego czy młodzi, niedoświadczeni srebrnogrzbieci, którzy w przyszłości mogą chcieć przejąć przywództwo.

OBSERWUJ ZDRÓW

W naszej grupie znajdują się dwa młode – jedno z gorylątek ma sześć, a drugie zaledwie dwa i pół roku. Obserwujemy, jak baraszkuje nieopodal żerujących dorosłych. Wyglądają jak przerośnięte pluszowe miśki, które chciałyby się wziąć na ręce i przytulić. Musimy jednak trzymać się na minimum siedem metrów od goryli, co jest kwestią ich bezpieczeństwa. Ponieważ są blisko spokrewnione z człowiekiem, mogłyby się zarazić od niego ludzkimi chorobami, na które nie mają naturalnej odporności. Dlatego też na szlak nie mają wstępu osoby z widocznymi objawami jakichkolwiek



chorób, nawet z katarem czy kaszlem. Byłoby to zbyt niebezpieczne.

Goryle górskie to zwierzęta głównie naziemne, wspinają się na drzewa w zasadzie wyłącznie w poszukiwaniu pożywienia i czasem dla zabawy. Bez problemu poruszają się natomiast nawet po śliskim, zarośniętym podłożu. Tam, gdzie obserwowana grupa idzie bez problemu, my ślizgamy się co chwilę i musimy bardzo uważać, by się nie przewrócić ani nie zwichnąć kostki. Goryle chodzą na czterech kończynach, opierają się z przodu na kłykciach, a nie na całych dłoniach. Ich ramiona są dłuższe niż nogi. Dzięki temu łatwiej im się przemieszczać w trudnych warunkach.

Na oglądanie mamy zaledwie godzinę. To kolejny środek ochrony tych zwierząt. Chodzi o to, by nie przeszkadzać im za bardzo i nie wytrącać z codziennego rytmu. To my,



ludzie, jesteśmy tutaj gośćmi i tak powinniśmy się zachowywać. Nasza godzina z rodziną goryli mija w okamgnieniu i przychodzi czas, by wracać. Na miejscu zostają wyłącznie tropiciele, którzy będą z daleka obserwować goryle i podążać za nimi do momentu, aż zwierzęta zaczną budować gniazda na noc. Każdego wieczora rodzina buduje nowe legowiska, w których członkowie stada śpią pojedynczo. Wyjątkiem są młode, które nocują w gnieździe razem z matkami.

Kiedy olbrzymy budzą się rano, wyruszają na poszukiwanie pożywienia. Żywią się głównie roślinnością – liśćmi, pędami, łodygami, owocami i korą drzew. Czasem uzupełniają dietę bezkręgowcami. Najedzone, w okolicach południa odpoczywają, a następnie znowu żerują, aż do wieczora. Jedzenie jest głównym zajęciem goryli w ciągu dnia. Dorosły samiec

może zjeść nawet 30 kg roślinności dziennie. W poszukiwaniu pożywienia wędrują po okolicy, przemieszczają się nawet na dość długich dystansach. Dlatego tropiciele podążają za nimi aż do momentu rozpoczęcia budowy gniazd, by następnego dnia wiedzieć, gdzie zacząć szukać.

NIE GROŹNE, A ZAGROŻONE

Zadaniem strażników parku, poza obserwacją i śledzeniem goryli, jest przede wszystkim ich ochrona. Niestety najbardziej niebezpieczny dla tych zwierząt jest człowiek, który zagraża im na wiele różnych sposobów. Dużym problemem są przede wszystkim kłusownicy, którzy zastawiają sidła na różne zwierzęta. Wpadają w nie także goryle i odnoszą często śmiertelne rany. Problemem są także porwania

BAZA KISORO

To miasteczko nieopodal granicy Ugandy z Rwandą i Demokratyczną Republiką Kongo jest bazą wypadową do Parku Narodowego Mgahinga Gorilla.



FOT. IWA BERWICKA

NIE MA JAK U MAMY

Samice noszą potomstwo na plecach. Goryle są świetnie przystosowane do poruszania się po trudnym podłożu.

młodych gorylątek celem sprzedaży ich na czarnym rynku jako zwierzęta do zabawy lub do nielegalnych ogrodów zoologicznych. Cena takiego młodego goryla waha się od tysiąca do 5 tys. dolarów, co dla ubogich miejscowych stanowi dużą pokusę, nawet jeśli to pośrednik zarabia najwięcej. W czasie prób porwań młodych giną też często dorosłe goryle, które bronią potomstwa tak bardzo, jak to tylko możliwe.

Innym problemem jest kurczenie się środowiska życia goryli górskich. W okolicy nadal trwa karczowanie lasów pod uprawy, co powoduje zmniejszanie arealu, na którym mogą żerować i budować gniazda. W dodatku podzielenie wielkiej niegdyś połaci lasu na mniejsze fragmenty sprawiło, że niektóre grupy przestały mieć kontakt z pozostałymi, co skutkuje mniejszą dywersyfikacją genetyczną.

Zagrożenie stanowiły też działania wojenne prowadzone w Demokratycznej Republice Konga. Zdarzały się przypadki rozerwania goryli przez miny zastawione przez walczące strony. W skrajnych przypadkach zdarzały się polowania na goryle dla ich mięsa.

Na szczęście od pewnego czasu naukowcy obserwują zahamowanie spadku liczebności populacji, a być może nawet powolny jej

rozrost. Nie oznacza to oczywiście, że można spocząć na laurach. Goryle górskie nadal wymagają ścisłej ochrony. Ważne są także projekty edukacyjne prowadzone przy udziale lokalnych społeczności.

WULKANY WIRUNGA

Kiedy nasza godzina z goryłami dobiega końca, strażnicy prowadzą nas na niewielką polankę, gdzie możemy chwilę odpocząć przed zejściem z powrotem do bazy. Nad głowami zaczynają gromadzić się chmury, jest przecież pora deszczowa i tylko duża doza szczęścia sprawia, że nie padało w czasie, kiedy obserwowaliśmy życie łagodnych olbrzymów. Teraz przychodzi jednak czas na ucieczkę przed deszczem. Musimy zejść z wysokości 3000 m n.p.m. na 2400 m n.p.m.

Park Narodowy Mgahinga Gorilla obejmuje teren wulkanicznego łańcucha górskiego Wirunga, dlatego śledzenie goryli zawsze wiąże się z wędrówką po górach. Trzeba także liczyć się z wysoką wilgotnością powietrza, nieco mniejszą zawartością tlenu i często niełatwym podłożem. Mimo to warto rozejrzeć się po pięknej, dziewiczej okolicy, zdominowanej przez drzemiące wulkany.



FOT. EWA SERWICKA

Na terenie Ugandy znajdują się trzy spośród ośmiu wulkanów Wirunga: Gahinga, od którego tutejszy park narodowy bierze swoją nazwę, Muhabura, na zboczach którego tropimy goryle, i Sabyinyo, będący najstarszym tutejszym wulkanem. Dwa czynne wulkany, Nyiragongo i Nyamuragira, są położone na terytorium Demokratycznej Republiki Konga, a ostatnia erupcja miała miejsce w 2010 r.

Po zejściu do bazy długo jeszcze nie mogę uwierzyć, że miałam okazję na żywo podglądać goryle górskie w ich naturalnym środowisku. Co chwilę zerkam na górujący nad nami stożek wulkanu Muhabura, zdając sobie sprawę, że nasza rodzina goryli wędruje gdzieś tam przez las porastający jego zbocza. To jedno z najwspanialszych przeżyć, jakie kiedykolwiek były moim udziałem. ○

MUHABURA W WIRUNDZE

Wygasły wulkan sięga 4127 m n.p.m. i jest trzecim pod względem wysokości wzniesieniem w wulkanicznym paśmie górskim Wirunga. Znajduje się na granicy Ugandy i Rwandy.



FOT. EWA SERWICKA



Ewa Serwicka

Od ponad siedmiu lat pracuje w branży turystycznej, dzięki czemu mieszkała już w Portugalii, Bułgarii, Hiszpanii, Grecji czy Kenii, o której napisała przewodnik. Podróże fascynują ją od dzieciństwa. W ich trakcie robi zdjęcia, które potem publikuje na blogu wraz z historiami z odwiedzonych krajów.

www.dalekoniedaleko.pl



POPATRZ W DÓŁ



FOT. MAGDALENA ŻELAZOWSKA

Jako dzieci na ogół słyszymy: „Patrz pod nogi!”. Ale moja mama właśnie za to mnie ganiła. Podczas wspólnych wędrówek kazała mi podziwiać widoki, zamiast gapić się w ziemię. A ja nie mogłam się powstrzymać!

Skąd u mnie jako dziecka wzięła się ta przyziemność, to ciągle przygarbienie i człapanie z nosem przy ziemi? Taka postawa jest bliższa starcom przygniecionym przez brzemień życiowych doświadczeń. Przecież dzieci z natury chodzą z głową w chmurach. A może po prostu jakaś niewidzialna ręka odwróciła mnie do góry nogami? Cóż, odkąd pamiętam, świat mojej wyobraźni znajdował się na dole.

To, gdzie kierujemy wzrok podczas przemieszczania się, wiele o nas mówi. Przyjrzyjcie się ludziom na ulicy, w tramwaju albo pociągu. Niektórzy patrzą w górę, ponad głowami, jakby wypatrując czegoś na niebie. Stale o coś się potykają albo powodują gafy, nie kłaniając się znajomym. To marzyciele. Inni badają to, co dzieje się po bokach: obserwują życie ulicy, sklepowe witryny, przesuwające się za oknem krajobrazy. Nic nie ujdzie

ich uwagi – ani korzystna wyprzedaż, ani potajemna schadzka kochanków. To analitycy. Trzecia grupa omiata świat niewidzącym wzrokiem, który tylko ślizga się po otoczeniu, a w rzeczywistości jest skierowany do wewnątrz. To grono studiuje własne odbicie w szybach, śmieje się do swoich myśli, czasem coś mamrocze. To narcyzi albo zakochani. Wreszcie są patrzący w dół. Na ulicy często na coś lub kogoś wpadają, w środkach transportu wbijają wzrok w podłogę, jakby coś zgubili. Nie, to nie są nieśmiali nudziarze. To odkrywcy.

Po latach stwierdzam, że niesłusznie karcono mnie za powolny chód i spojrzenie utkwione pod nogami. Słyszałam, że tyle mnie omija! A przecież ja tam, w dole, też coś widziałam. Przyglądanie się ziemi było najlepszą praktyczną lekcją biologii, geografii i historii, jaką można sobie wyobrazić. W przyrodniczym żwirze dość wcześnie nauczyłam się wypatrywać

skamieniałości, w bezkształtnej szarej masie dostrzegałam zarys muszerek i szkieletów zagadkowych stworzeń. Potem zbierałam minerały, skrzęcając się pomiędzy kamieniami górskich szlaków, jakby puszczały do mnie oko. W pobliżu zabytków podnosiłam z ziemi kawałki kolorowej ceramiki albo kamienia, który być może był fragmentem jakiejś starożytnej rzeźby? Napięcie, w jakim krok po kroku skanowałam podłoże, i łomot serca, kiedy coś wypatrzyłam, mógłby zrozumieć tylko odkrywca grobu Tutanchamona. Czułam się jak tropiciel, archeolog, odkrywca. Niedawno przypominałam sobie te emocje, gdy znajomy zabrał mnie na spacer z wykrywaczem metalu. Do dziś przechowuję wszystkie moje dziecięce zdobycze jak najcenniejszy skarb.

Gdy patrzemy w dół, możemy dowiedzieć się równie interesujących rzeczy co w czasie zwiedzania z aparatem przyklejonym do twarzy. I nie dotyczy to tylko Hollywoodzkiej Alei Gwiazd. Ile jest na świecie intrygujących kamiennych posadzek, zabytkowych mozaik, kocich łbów, wskazujących na historyczną przeszłość! Kilka lat temu fotograf Stanisław Michalski zorganizował wystawę „Medaliony”, na której prezentował oznaczone tajemniczymi symbolami studzienki i kratki burzowe oraz kanalizacyjne napotkane w różnych krajach. A Elżbieta Dzikowska podróżom z nosem przy ziemi poświęciła fotograficzny album „Ziemia z bliska”.

Korzyści z patrzenia w dół są niezliczone. Jako dziecko stałe coś gubiłam, od pieniędzy na obiady w szkolnej stołówce po klucze (noszenie ich na sznurku na szyi jakoś nie pomagało). To była moja zmora, ale sprawiedliwy los wynagradzał mnie równie częstymi znaleziskami. Bucik dla lalki, fragmenty zabawek, porzucony pod śmietnikiem miś. Ale też banknoty i monety, złoty medalik, sznurek koralu z prawdziwego bursztynu. Z topniejącej zasy wyciągnęłam złotą bransoletkę, a z przybrzeżnych fal – markowe okulary. W dziurze w szkolnym boisku wypatrzyłam starą metalową pieczęć z czasów zaborów. Nie znalazłabym tych wszystkich rzeczy, gdybym tylko rozglądała się dookoła.

Nie jest prawdą, że patrząc pod nogi, tracimy wspaniałe widoki. Najlepsze z nich kryją się właśnie pod stopami, wbrew obowiązującej na dużych wysokościach mantrze „Nie patrz w dół!”. W różnych zakątkach świata przybywa

spektakularnych tarasów widokowych i ścieżek spacerowych w koronach drzew. Z Madery najlepiej zapamiętałam przeszkloną platformę na klifie Cabo Girão. „Nogi się pode mną ugięły” to najodpowiedniejszy opis tego, co poczułam, gdy stanęłam niemal 600 m nad taflą oceanu i nie widziałam pod nogami podłoża. Gdzieś w dole rozbijały się fale, tak daleko, że nie było ich słychać. Lśniąc w słońcu woda bezszelestnie omywała brzeg z prostokątnych poletek, przypominając zielony patchwork. Pod moimi stopami latały ptaki.

W czasach pośpiechu i rozproszenia uwagi ostatni krzyk mody to mindfulness, czyli nauka uważności. Na Facebooku co i rusz organizuje się nowe fotograficzne

wyzwania, w stylu „jedno zdjęcie w drodze do pracy codziennie przez miesiąc”. Poradniki mające pomóc uporać się z życiowym wypaleniem zalecają chodzenie do starych miejsc nowymi trasami. A może wystarczy po prostu inne, świeże spojrzenie na to samo otoczenie? Nie potrzeba tu wcale wielkiego wysiłku. Kiedy wszyscy mówią: „Głowa do góry”, my popatrzmy w dół. I jeszcze jedno: dajmy dzieciom święty spokój! ☺

Magdalena Żelazowska

Dziennikarka, pisarka, blogerka.

Od lat w bliższych i dalszych rozjazdach, w które zawsze zabiera notatnik. Jest autorką powieści „Zachłanni” i „Hotel Bankrut”.

Prowadzi blog podróżniczy

www.zgubsietam.pl



ODKRYJ W SOBIE PODRÓŻNIKA

R E K L A M A



Amok

i nie tylko

Emilia Hinc





Mieszkańcy Kambodży, podglądając zachodni styl życia, odkryli, że pies i kot mogą uchodzić za członków rodziny. Kiedyś traktowano zwierzęta bez szacunku, ale dzięki internetowi, a zwłaszcza portalom społecznościowym, wiele się zmieniło. Zapytałam, czy jest prawda, że Khmerzy jedzą psy. Podobno zdarza się to jeszcze w głębi kraju, ale jest rzadkim zjawiskiem.

Mijając przydrożne sklepiki i gar-kuchnie, zauważyłam, że właściwie wszyscy mają zwierzaki, które towarzyszą ludziom w codziennych czynnościach. Psy są przeważnie dużymi kundlami, a koty – rudzielcami o krótkich ogonach. Wydawały się w miarę zadbane, a przynajmniej nie było im widać żeber, jak zwierzętom w sąsiednim Laosie. W Phnom Penh, stolicy Kambodży, powstały nawet pierwsze salony piękności dla psów.

– *Wiesz, kiedy byłem mały, miałem psa. Bawiłem się z nim i bardzo kochałem – opowiada Visa, nauczyciel ze szkoły w Angkor Borei, gdzie byłam wolontariuszką. – Jednak moja rodzina jest bardzo biedna, więc pewnego dnia ojciec poprosił sąsiada, żeby zabił naszego psa na mięso. Byłem smutny i okropnie płakałem, ale ojciec powiedział tylko, że jeśli nie chcę, nie muszę jeść. Dziś i on nie zjadłby już takiego mięsa...*

MAŁPY, KOTY I BRAK INFORMATYKA

Koty często osiedlają się w buddyjskich świątyniach, gdzie są dokarmiane. W Wat Phnom, czyli pagodzie, która dała nazwę i początek stolicy Kambodży, są one prawdziwymi gospodarzami. Witają licznych pielgrzymów odwiedzających świątynię, poddając się ich pieszcotom. Dziela swoją codzienność z kobietami sprzedającymi kwiaty i kadzidła niezbędne do złożenia ofiary dla Buddy. Wat Phnom zbudowano na zielonym wzgórzu porośniętym drzewami. Aby zwiedzić świątynię, trzeba skorzystać z wysokich schodów ozdobionych rzeźbami siedmiogłowego węża. W środku pagody, pomiędzy figurami przedstawiającymi Buddę, znajduje się także stupa z prochami pierwszego króla Kambodży, Ponhea Yat. Po południu w okolicach budowli, ku uciechu turystów, pojawiają się wszędobylskie małpy, gotowe zawalczyć o pyszny owoc na kolację.

Małpy udaje mi się spotkać także w mieście Kep, które jest znane przede wszystkim z targu krabowego. Podjudzane przez lokalnych sprzedawców owoców, którzy rzucają im jedzenie, by zaraz straszyć je tupaniem, pokazują żółte zęby, gotowe zarówno do ataku, jak i ucieczki. Kep, położone w prowincji Kampot, słynnej z upraw pieprzu, ugościło mnie najsmaczniejszym daniem, jakie przyszło mi kiedykolwiek jeść. Smaku kraba w sosie z zielonego pieprzu nie można zapomnieć! Świeżo złowione, można poobserwować na targu, zaglądając do charakterystycznych koszyków używanych przez poławiaczy. A na pamiątkę można zrobić zdjęcie olbrzymiemu pomnikowi kraba wzniesionemu na długiej nadmorskiej promenadzie.

W Kep odwiedziłam sierociniec, po którym oprowadziła mnie Chenda, pracownica biblioteki. Z dumą pokazała prace dzieciaków oraz zakupione dla nich książki. Sierociniec składa się z kilku domków – w każdym z nich mieszka kilkoro dzieci wraz z opiekunką, którą nazywają mamą. Dzieci sprawiały wrażenie radosnych i od razu próbowały rozmawiać po angielsku. Chenda wyznała też, że marzy jej się zatrudnienie nauczyciela informatyki, choć nie ma na to pieniędzy, więc chętnie skorzystałaby z pomocy wolontariusza*.



FOT. EN. IJA - HIC

SZKOLNA CHOINKA Z OPON

Wolontariat jest zjawiskiem, które w Kambodży rozwija się bardzo szybko. Wiele zagranicznych firm zajmuje się rekrutacją wolontariuszy, którzy muszą płacić za możliwość uczestniczenia w programie. Szkoła, w której zajmowałam się animacją dzieci, została mi polecona przez znajomego. Spędziłam w niej sześć miesięcy i cały czas jest dla niego ważna. Aby się do niej dostać, musiałam wykupić przejazd drewnianą łodzią z miasta Takeo do Angkor Borei, które jest dawną stolicą Kambodży. Jako totalna ignorantka usadziłam się wygodnie na dziobie. Półtorej godziny później wysiadłam kompletnie przemoczona, niosąc pod pachą mokry karton z materiałami plastycznymi.

Placówka, w której spędziłam grudniowy tydzień, to szkoła języka angielskiego prowadzona przez bardzo młodego człowieka. Za możliwość pracy z dziećmi wolontariusz musi zapłacić 5 dolarów dziennie – w zamian proponuje mu się dach nad głową i dwa posiłki. W jednym pomieszczeniu, na łóżkach zbitych z desek i pozbawionych materacy, śpi personel szkoły oraz wolontariusze. Dzięki temu na własnych kościach można poczuć, jak wygląda noc Khmera. Pomimo że teoretycznie szkoła ma uczyć języka angielskiego, to tylko młody dyrektor znał go dość dobrze. Pozostała kadra mówiła w języku Szekspira gorzej ode mnie, czyli raczej kiepsko.

Ponieważ wywodzę się z kultury, w której nad dziećmi sprawuje się niemal totalną

KSIĄŻĘ NA PAŁACU

Pałac królewski w Phnom Penh od drugiej połowy XIX w. był siedzibą monarchów Kambodży. Najbardziej znana część pałacowego kompleksu to Srebrna Pagoda z posągami kryształowego Buddy. Na frontonie pałacu widoczna fotografia słynnego przywódcy Kambodży, księcia Norodoma Sihanouka, zmarłego w 2012 r.



FOT. SHUTTERSTOCK

ZIELONO IM...

Takie zielone ryżowe pole może przynieść kambodżańskiemu rolnikowi nawet cztery zbiory rocznie.

kontrolę, niełatwo było mi przełknąć fakt, że maluchy pozostawiane były często same sobie – na przykład, gdy nauczyciel poczuł potrzebę ucięcia sobie drzemki, i zniknął na jakiś czas z pola widzenia. Jednocześnie relacja nauczycieli z uczniami jest tu naprawdę bliska. Dzieci przychodzą do części mieszkalnej grona pedagogicznego bez skrępowania, grzebią w rzeczach osobistych i przesiadują na łózkach. W Europie taka zażyłość nauczyciela z uczniem byłaby nie do przyjęcia, jednak w małej miejscinie w Kambodży nikt nie widzi w tym nic złego. Tak samo jak w tym, że z dziećmi pracują wolontariusze, których

nikt nie sprawdza pod względem karalności czy zdolności pedagogicznych.

Ponieważ miałam szczęście bycia tu w okresie Bożego Narodzenia, uczestniczyłam w przyjęciu zorganizowanym przez dyrektora. Khmerzy, jako buddyści, nie obchodzą narodzenia Jezusa, ale dyrektor uznał, że to dobry powód, aby przybliżyć uczniom zachodnie tradycje. Skonstruowaliśmy wspólnie choinkę z... opon samochodowych, zorganizowaliśmy gry i zabawy oraz obdarowaliśmy dzieci prezentami. Wiele z nich przyszło przebranych za mikołajów czy śnieżynki i było widać, że sprawiało im to wielką radość.

TUK-TUKI I LEXUSY

Najważniejszymi rzecznikami Kambodży są z pewnością kierowcy tuk-tuków. To z nimi podróżnik nawiązuje pierwszy kontakt po przybyciu do kraju. Tuk-tuki, czyli małe pojazdy składające się z motoru oraz wózka pasażerskiego, są podstawowym środkiem lokomocji. Cenę za przejazd należy negocjować zawsze przed rozpoczęciem podróży, tym bardziej że kierowcy często nie znają adresu (choć nigdy się do tego nie przyznają), więc niekiedy krąży się godzinami po mieście. Jednak ustalona stawka zawsze obowiązuje, mimo przejechanych dodatkowych kilometrów.

Podczas miesięcznego objazdu po kraju nigdy nie spotkałam się z nieuczciwym kierowcą. Niektórzy z tuktukowców tak zaprzyjaźniają się z pasażerami, że spędzają z nimi wiele czasu, nie żądając wcale zapłaty. Tak jak San, który do tego stopnia zżył się z moją koleżanką z podróży, Marie-Aline, że przez kilka dni towarzyszył jej w odkrywaniu południa kraju. Skończyło się wspólnym wypadem na koncert rockowego zespołu Kampot Playboys w hostelu Banyan Tree w Kampot. (Jeżeli będziecie mieli możliwość uczestniczenia w koncercie

LEKCJA

Mistrz i uczniowie w plenerze. Wkroczenie na ścieżkę mniszego życia daje dzieciom opiekę i dostęp do lepszej edukacji.

FOT. SHUTTERSTOCK

grupy, gorąco polecam. Charyzmatyczny, zachrypnięty głos wokalisty, ciekawe kompozycje oraz połączenie khmerskich instrumentów z gitarami, perkusją i akordeonem sprawiają, że występy Kampot Playboys są niezwykle energetyczne). Warto zatem spędzić więcej czasu z kierowcą, choćby zaprosić go na kawę, dzięki czemu można dowiedzieć się ciekawych rzeczy na temat Kambodży.

Obok tuk-tuków po ulicach miast mkną skutery. Jeżdżą nimi absolutnie wszyscy: nastolatki, starsi panowie, panie w sukienkach, wieloosobowe rodziny z niemowlętami, uczniowie szkół podstawowych. Przewozi się nimi zakupy, okna, zwierzęta – prawie wszystko! W zależności od wyobraźni i potrzeb kierującego skuterem. Prawo wymaga tylko, żeby kierowca zakładał kask, ale już pasażer jest zwolniony z tego obowiązku.

Samochodów jeżdżących po ulicach jest zdecydowanie mniej i są to już przeważnie auta luksusowe. Pech Hak, który zabrał mnie swoim lexusem na przejażdżkę po Phnom Penh, jest deweloperem budującym domy w północnej części kraju. Wyjaśnił mi, że planuje dorobić się fortuny, aby mieć zapewnioną spokojną starość. Mieszkańcy Kambodży nie

placą bowiem podatków ani składek społecznych, a co za tym idzie – nie istnieje tu system emerytalny. Nie powinien więc dziwić widok starszych ludzi usiłujących utrzymać się ze sprzedaży przekąsek, duszonych bananów czy pokrojonych w kostkę ananasów.

Pech Hak oprowadził mnie po dzielnicy Naga, która jest bardzo nowoczesna, a jej olbrzymie, oszklone budynki robią wrażenie. Najbardziej charakterystycznym obiektem jest Naga World Casino, na którego elewacji są wyświetlane animacje. My skierowaliśmy się jednak w stronę nocnego marketu, aby spędzić wieczór tak, jak spędza go większość Khmerów. Takie markety istnieją w każdym większym mieście: Phnom Penh, Sihanukville, Kampot czy Siem Reap. Zaczynają funkcjonować po zapadnięciu ciemności, czyli około godziny 18.

ZIELONY CHLEB I RÓŻOWE JAJKA

Turystom, którym nie odpowiadają neonowe światła wesołych miasteczek, może spodobać się Riverside w Phnom Penh. To najbardziej imprezowa dzielnica w stolicy, gdzie znajduje

NA WYSPIE KRÓLICZEJ

Łodzie cumujące u brzegu Koh Tonsay (Wyspy Króliczej). Nie jest może ona tak sławna jak o wiele większa Koh Rong, ale równie idylliczna.





FOT. EMILIA HINC

się najwięcej restauracji ze smacznym jedzeniem oraz dyskotek, jak sławny klub Pontoon lub słynący z muzyki reggae Dusk Till Dawn. Tutaj też można spotkać najwięcej turystów. Dlatego np. w tej części miasta powstało wiele agencji podróży, które sprzedają wycieczki do każdego zakątka Kambodży. Trochę podobny klimat odnajdziemy w nadmorskim Sihanoukville. To miasto wyrosło na kultowe miejsce wśród spragnionych wrażeń podróżników. Jednak wszechobecna komercja, tabuny młodych pijanych ludzi oraz starszych białych mężczyzn, prowadzących się z młodymi khmerskimi dziewczynami, nie zrobiły na mnie najlepszego wrażenia.

Zdecydowanie lepszym pomysłem na spędzenie czasu nad morzem jest wyprawa na wyspę Koh Tonsay, czyli Wyspę Króliczą, która leży nieopodal Kep. Daremne jest poszukiwanie tutaj królików – nazwa wyspy wzięła się bowiem od jej kształtu. To kawałek raju, rodem z folderów biur podróży. Wyspa jest spokojna, nie ma ruchu ulicznego, tylko

biały piasek, który jest domem małych skorupiaków, oraz ciepła woda, bujna roślinność, ptasi śpiew i drewniane bungalowy. To właśnie tutaj poznałam Francuzkę Marie-Aline, z którą popijałam mleko kokosowe prosto z orzecha i jadłam pyszne *amok*, czyli potrawkę z ryby i ryżu (jest też wersja mięsna tego dania – przepis na stronie 104).

Kambodżańska kuchnia nie jest może wykwintna, ale bazuje na świeżych, nieprzetworzonych produktach, dzięki czemu dobrze służy żołądkowi. Bez obawy więc żywiłam się w ulicznych garkuchniach i nie miałam często pojęcia, co jem. Zawsze było smacznie i pożywnie... Niektóre produkty spożywcze mogły zaskakiwać, jak wędzone kurze łapki, zielony drożdżowy chleb czy jajka w różowych skorupkach. No ale przecież cały w tym urok, aby wciąż odkrywać to, co nowe!

*PS. Chętnych do podjęcia wolontariatu w sierocińcu, w roli nauczyciela informatyki, mogę skontaktować z Chendą... ◯

LATAWCE Z KAMPOT

Ta dziwna konstrukcja to stoisko młodocianych sprzedawców latawców w Kampot.



Emilia Hinc

Z wykształcenia prawniczka, z zamiłowania pisarka. Autorka dwóch książek. Od 2009 r. mieszka na południu Francji. Kilka lat temu założyła „Zeszyt podróżniczych marzeń” i od tego czasu konsekwentnie realizuje kolejne punkty z listy.



NAVIGATOR



Nasze rekomendacje na krótkie wypady



50°14'N 19°05'E

Z przystanku Katowice-Dworzec do Oddziału Muzeum Historii Katowic w Nikiszowcu można dojechać autobusem linii nr 674. Po wcześniejszej rezerwacji możliwość oprowadzania po wystawach.

Urok familoków

Na obszarze Śląska do końca XX w. powstało blisko 250 osiedli robotniczych. Jedno z najładniejszych to Nikiszowiec, położony we wschodniej części Katowic. Za projekt odpowiedzialni architekci Georg i Emil Zillmannowie z Berlina. Realizacja trwała 10 lat, od 1908 do 1918 r. Nikiszowiec miał pomieścić 7 tys. osób, m.in. przyjezdnych górników i hutników oraz ich rodziny. Nazwa wywodzi się od położonego nieopodal szybu kopalnianego Nikischschacht. Osiedle jest zbudowane w całości z czerwonej

cegły. Dzieli się na dziewięć trzykondygnacyjnych części nazywanych przez Ślązaków familokami. Każda z nich ma swój dziedziniec, na którym niegdyś znajdowały się chlewiki, komórki i piece do wypieku chleba. Centrum osiedla stanowi plac Wyzwolenia oraz stojący przy nim neobarokowy kościół św. Anny z 1914 r. W jego wnętrzu znajdują się cenne witraże Jerzego Schneidera oraz ogromne organy autorstwa braci Rieger z Karniowa. Prócz zabudowy mieszkalnej i parafii mieszczą się tu też obiekty

usługowe i użyteczności publicznej: kawiarnie, restauracja, sklepy, a nawet szkoła. Na uwagę zasługuje budynek dawnej pralni i magła, który odrestaurowano i powierzone Muzeum Historii Katowic.

Osiedle jest ogólnodostępne przez cały rok, a jego zwiedzanie z audioprzewodnikiem jest bezpłatne. Oddział Muzeum Historii Katowic można odwiedzać od wtorku do niedzieli (wstęp we wtorki bezpłatny na wystawy stałe). Nikiszowiec od 2006 r. zalicza się do Szlaku Zabytków Techniki.

TURCY, ŻONKA, KOMINIARZE

Korowody karnawałowe we wsiach regionu Hlinsko zostały wpisane na listę UNESCO. Głównymi postaciami biorącymi udział w pochodach przebierańców są: Turcy, żonka, słomiane kukły, rakarz, kominiarze i niedźwiedź. Każdego roku w lutym barwny korowód wędruje po wioskach Vortová, Studnice, Hamry i Blatno. W skansenie na Wesołym Pagórku można obejrzeć stałą ekspozycję masek karnawałowych.

W ostatni wtorek karnawału (sześć tygodni przed Wielkanocą) następuje tradycyjne pożegnanie okresu zabaw. Dzieci ze wszystkich miejscowych szkół uczestniczą w kolorowych pochodach, którym towarzyszy wesoła muzyka i zabawa. Kolejnym świętem jest tak zwana Czarna Niedziela, dwa tygodnie przed Wielkanocą, z którą wiąże się tradycja wyrzucenia Śmierci. Zwyczaj ten należy do najstarszych tradycji ludowych w Czechach, jego korzenie sięgają czasów pogańskich. Dziewczęta wykonują ze słomy i starych ubrań kukłę Śmierci. Ozdabiają ją naszyjnikami ze



skorupek jaj i wędrują z nią po skansenie, śpiewają i kołędują. Śmierć zostaje następnie zaniesiona nad rzekę i utopiona jako symbol pożegnania zimy. Po symbolicznym rozstaniu z zimą rozpoczynają się przygotowania do Wielkanocy.

Więcej informacji: www.czechy-wschodnie.info

49°45'N 15°54'E

Hlinsko leży 50 km na południowy wschód od Pragi.

NAVIGATOR – Kaplice pełne czaszek i kości według Wirtualnej Polski

Kaplice i krypty wypełnione po brzegi ludzkimi kośćmi i czaszkami znajdują się w wielu miastach Europy, także w Polsce. Zdaniem Wirtualnej Polski jedno jest pewne – warto choć raz zobaczyć takie miejsce.



Czechy Kutná Hora

Zaledwie 100 km od polskiej granicy i 70 km od Pragi znajduje się kaplica Czaszek w Kutnej Horze – jedna z najbardziej znanych tego typu atrakcji turystycznych na świecie. Z ludzkich szczątków jest zrobione wszystko, od żyrandoli z piszczeli, przez świeczniki z części miednicy, aż po kielichy z kości rąk. Nad tymi makabrycznymi dziełami górują aniołki, a gdzieś tam przestrzeń wypełniają kwiaty w wazonach. Szacuje się, że znajdują się tu szczątki nawet 70 tys. osób – ofiar epidemii dżumy w XIV w., wojen husyckich w XV w. oraz wojny trzydziestoletniej w XVII w.



49°57'N 15°16'E

Kaplica znajduje się w dzielnicy Sedlec. Do Kutnej Hory można dojechać z Pragi pociągiem, jak i autobusem.

Francja Paryż

Jedno z najbardziej znanych na świecie miejsc, w których są zebrane ludzkie kości, to paryskie katakumby. Mieszczą się w nich szczątki blisko 6 mln osób, wypełniające ściany ponad 300 km podziemnych tuneli. Katakumby powstały, ponieważ paryskie cmentarze nie mieściły już zmarłych, ale także dlatego, że ludzie mieszkający blisko nekropolii zaczęli chorować. Pierwsze ciała zostały tu przeniesione pod koniec lat 80. XVIII w. Tunele udostępniono turystom sto lat później.



48°51'N 02°21'E

Wejście do katakumb znajduje się przy stacji metra Denfert-Rochereau, na którą można dojechać 4 i 6 linią metra.



Austria Hallstatt



47°33'N 13°39'E

Do Hallstatt można dojechać w jeden dzień. Z południa Polski to niecałe 680 km.

Mała przycmentarna kapliczka grzebalna w miejscowości Hallstatt w Austrii, choć wypełniona czaszkami, nie przeraża tak bardzo, jak inne tego typu miejsca. Jej wnętrze wypełnia ok. 1200 czaszek, z których połowa jest ozdobiona malunkami – kwiatami (kobiece) lub gałązkami bluszczu (męskie) oraz danymi i profesją zmarłego. Powstanie kaplicy jest związane z brakiem miejsca na cmentarzu przylegającym do kościoła. Według tradycji groby były wynajmowane na 10–15 lat, a po tym czasie kości ekshumowano. Zdobiono więc czaszki i umieszczano w kaplicy, by w ten sposób upamiętnić zmarłych na wieki.

Włochy Rzym

W kościele Santa Maria della Concezione dei Cappuccini w Rzymie znajduje się mrożąca krew w żyłach krypta Kapucynów. Jest wykonana prawie w całości ze szczątków ponad 4 tys. braci kapucynów pochowanych w okresie 1528–1870 r. W środku znajduje się sześć małych kapliczek poświęconych konkretnym częściom ciała ludzkiego, m.in.: kaplica kości nóg czy kości miednicowych. Z ludzkich szczątków są tu wykonane żyrandole, ramy obrazów czy krzyże. Wnętrze krypty wypełniają także w całości zachowane szkielety ubrane w habity.



41°54'N 12°29'E

Kościół mieści się kilka kroków od Piazza Barberini, przy ul. Via Veneto.

Portugalia Evora



Capela dos Ossos w kościele św. Franciszka jest nietypowa jak na tego typu miejsca. Jej wnętrza wypełniają kości i czaszki ponad 5 tys. ludzkich ciał, ale to nie wszystko. Ta kaplica jest dosłownie zbudowana z kości, bo szczątki znajdują się także w murach i filarach budynku. Kaplicę zbudowano w XVI w. Miała ukazywać, jak krótkie jest życie. Ale był jeszcze inny powód – w XV i XVI w. w okolicach Evory znajdowało się ponad 40 cmentarzy klasztornych. Ziemia była wówczas

bardzo cenna, dlatego tutejsi mnisi postanowili zgromadzić szczątki umarłych w jednym miejscu.

38°34'N 07°54'W

Kaplica jest częścią kompleksu kościelnego Igreja de Sao Francisco w Evorze.

Włochy Mediolan



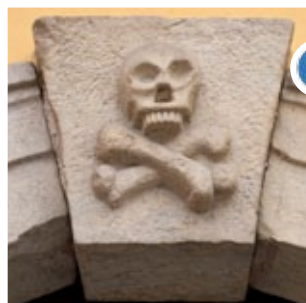
Włoska kaplica Czaszek mieści się przy średniowiecznym kościele św. Bernarda od Kości w Mediolanie. Powstała, ponieważ w XIII w. zaczęło brakować miejsca na pobliskim cmentarzu.

45°28'N 09°11'E

Kaplica znajduje się 500 m od placu Duomo. Wejście jest darmowe.

Polska Kudowa-Zdrój

Jedyna tego rodzaju kaplica w Polsce mieści się w Kudowie-Zdroju. Kaplica Czaszek to wielki wspólny grobowiec ofiar wojen śląskich z lat 1740–1742 i 1744–1745 oraz chorób zakaźnych z XVIII w. W tej niewielkiej kaplicy ściany i sufit są wyłożone trzema tysiącami czaszek i kości ludzkich. Część szczątków jest ułożona we wzory i zdobienia, a wiele z nich ma widoczne deformacje chorobowe i genetyczne. Jakby tego było mało, pod podłogą spoczywa ponad 20 tys. szczątków ludzi – rodzin, przyjaciół, ale także wrogów zabitych w czasie wojen. Kaplica została wybudowana w 1776 r. przez księdza Wacława Tomaszka. Raz w roku, o północy z 14 na 15 sierpnia, odprawia się tu mszę świętą za wszystkich, którzy w niej spoczywają, oraz za tych, którzy umarli na skutek chorób lub w wyniku nieszczęśliwych wypadków.



50°26'N 16°14'E

Kaplica jest położona w odległości ok. 1 km od centrum Kudowy, w dolinie rzeki Czermnicy.



FOT. SHUTTERSTOCK



ŚLADAMI EVITY

Anna Dąbrowska

Przejazd z lotniska do centrum Buenos Aires dłuży się. Taksówka mknie przez aleję Evy Peron. Po ciemku ta dość szeroka arteria wydaje się sennym majakiem – niska i wysoka zabudowa przeplatają się, z góry pada mdle światło ulicznych latarni. Po ponad czternastu godzinach lotu jawa miesza się ze snem.



FOT. PLAVIA, MORLACHE TI SHUTTERSTOCK

Do grobu Evy Peron na cmentarzu Recoleta w Buenos Aires zaprowadziły mnie koty. Jest ich tu pełno. Przemykają między nagrobkami jak duchy. Grób Evy mieści się daleko od głównej alei, stoi w rzędzie innych nagrobków i niczym specjalnym się nie wyróżnia, jest skromny, wręcz przeciętny. O tym, kto w nim leży, informują pamiątkowe tablice.

Schowali ją pięć metrów pod ziemią; głęboko, żeby już nikt jej stamtąd nie zabrał. Po ponad dwudziestu latach od śmierci i makabrycznej odysei przez dwa kontynenty Evita wreszcie zaznała spokoju w ojczystej ziemi. Jej grób odwiedzają wszyscy zwiedzający cmentarz, czasem trudno się precyzyjnie. Miałam szczęście, bo kiedy dotarłam do grobowca, nikogo tam nie było. Sam na sam z legendą Ameryki Południowej.

CZAS WALKI

Dzielnica Recoleta, pełna majestatycznych kamienic z charakterystycznymi kokułami, przez jakiś czas była domem Marii Evy Duarte. Aktorka amatorka urodziła się w oddalonym o 300 km na zachód od Buenos Aires prowincjonalnym Los Toldos, położonym na płaskiej jak stół Pampie. Ale zanim zamieszkała na Recolecte, wynajmowała pokoje i klitki, codziennie prała swoją jedyną sukienkę i szukała szczęścia, pozując do zdjęć i chodząc na castingi. Ambitna, uparta i wytrwała w dążeniu do celu miała być już całe życie. Jako niemżeńskie, pochodzące z niezamożnej rodziny dziecko była zahartowana, a przyjazd do stolicy uzbroił ją w nieprzepuszczający drwin i krytyki pancierz. Stojąc przed grobem kompanery Evity, nieświadomie weszłam na szlak, którym będę zwiedzać Buenos Aires.

Eva Duarte odnosi sukces, staje się wziętą aktorką, występuje w reklamach. Kobieta o gęstych blond włosach i okrągłej twarzy z idealną alabastrową cerą nie jest jednak przykładem klasycznej piękności. Ale nadrabia wdziękiem i strojem. To z pewnością pomogło jej zrobić wrażenie na Juanie Peronie. 22 stycznia 1944 r. ten pułkownik, wybijający się powoli na gwiazdę argentyńskiej wojskowej junty, organizuje wieczór charytatywny na rzecz ofiar trzęsienia ziemi w San Juan. Na zaproszenie przybywają



rodzime gwiazdy, w tym dwudziestopięcioletnia Eva Duarte. Z budynku Luna Park Arena wychodzą razem i od tego momentu ich cel jest jasny – wziąć szturmem Argentynę.

Miejsce, w którym Eva poznała przyszłego męża, istnieje do dziś. To zwarta i nieco



przysadzista budowla, oddająca architektonicznego ducha czasów, w których powstała, czyli lat 30. Szpecą ją jedynie współczesne reklamy zawieszane nad wejściem, które zasłaniają starą płaskorzeźbę przedstawiającą trzech koszykarzy.

Eva pojawiła się w życiu Juana Perona w decydującym momencie. On sam, choć ambitny, nie miał charyzmy, brakowało mu talentu do porywania tłumów. Młoda, inteligentna, pochodząca z ludu dziewczyna miała wszystkie potrzebne cechy, by stać się

RÓŻOWY DOM

Casa Rosada to dom argentyńskich prezydentów. Z tyłu budynku mieszczą się balkony – to właśnie z tego miejsca Evita przemawiała do tłumów.

niepisaną duchową przewodniczką narodu i umiejętnie grać na ludzkich emocjach, co pokazała niejednokrotnie w swoim przedwcześnie zakończonym życiu. Od dnia ich pierwszego spotkania przyszli państwo Peron już wspólnie podążali wytyczoną przez Evę ścieżką po władzę.

O tym, że Evita miała w sobie niezwykłą moc i umiejętność pociągania tłumów, świadczy fakt, że wyciągnęła Perona z więzienia. Został aresztowany, ponieważ jego postać stawała się coraz bardziej popularna, zagrażając tym samym rządowemu porządkowi. Eva nie siedziała bezczynnie – pracowała w Radiu Belgrano i w audycjach nawoływała do masowych protestów mających na celu zwolnienie Juana Perona. Potem był skromny ślub – pan młody miał wówczas 48 lat, a jego narzeczona 23 lata mniej. W 1946 r. Juan Peron został dwudziestym dziewiątym prezydentem Argentyny.

na plac Majowy przed Casa Rosada (Różowy Dom), siedzibę prezydenta. W czasach Evity tłumy gromadziły się pod balkonami wychodzącymi na plac Majowy z tyłu budynku, a ona wygłaszała płomienne przemówienia do swoich *descamisados*, ludzi bez koszul, choć tak naprawdę chodziło o ludzi bez marynarek, ciężko pracujących obywateli, dla których Eva jaśniała na firmamencie jak najwspanialsza gwiazda.

Kiedy przemawiała z balkonu Różowego Domu, Peron i jej miłość do niego oraz oddanie ukochanym *descamisados* w walce na rzecz najuboższych były zawsze głównym tematem. Każdy chciał jej chociaż dotknąć, ogrzać się w blasku argentyńskiej Damy Nadziei. Nic dziwnego, że kiedy umarła, Argentyna okryła się głęboką żałobą. Kochali ją. Obsesyjnie, mocno, żarliwie.

Ukochani *descamisados* Evity, jej armia złożona z ludzi pracy, biedaków, kobiet i dzieci, w deszczu stała pod Casa Rosada i czekała na cud, który nie nadszedł. Evita zmarła za murami Różowego Domu w dniu 26 lipca 1952 r. na zaawansowanego raka szyjki macicy. W tym samym czasie przez Argentynę motocyklem, w towarzystwie przyjaciela Alberta Granady, podróżował Ernesto Guevara, późniejszy Che,

TRYBUNA LUDU

Aleja 9 Lipca to główna ulica Buenos Aires. Mieszczą się przy niej ważne instytucje i ministerstwa. W czasach Evity stanowiła ona scenę licznych demonstracji i wieców.

DESCAMISADOS! COMPAÑEROS!

Czujesz, że coś w twoim życiu jest nie tak? Pracodawca jest nieuczciwy, a czynsz za wysoki? Masło drożeje? Protestuj! Śmiało! W Argentynie społeczeństwo manifestuje oburzenie, maszerując aleją 9 Lipca



El Comandante i bohater rewolucji kubańskiej, drugi po Evicie najbardziej znany Argentyńczyk.

Casa Rosada to przepiękny budynek w kolorze zgaszonego malinowego różu. Natomiast plac Majowy otaczają ciekawe zabudowania w tym katedra Trójcy Przenajświętszej, miejsce pracy duszpasterskiej kardynała Jorge Mario Bergoglio, obecnego papieża Franciszka. Jednak plac Majowy oraz aleja 9 Lipca to również miejsca demonstracji i rozruchów, nie zawsze jest tam bezpiecznie. Różowy Dom nierzadko musi chronić policja. Przypadkowo wpakowałam się na manifestację CGT, czyli Powszechnej Konfederacji Pracujących. Za życia Evity była to jedna z głównych wspierających ją organizacji.

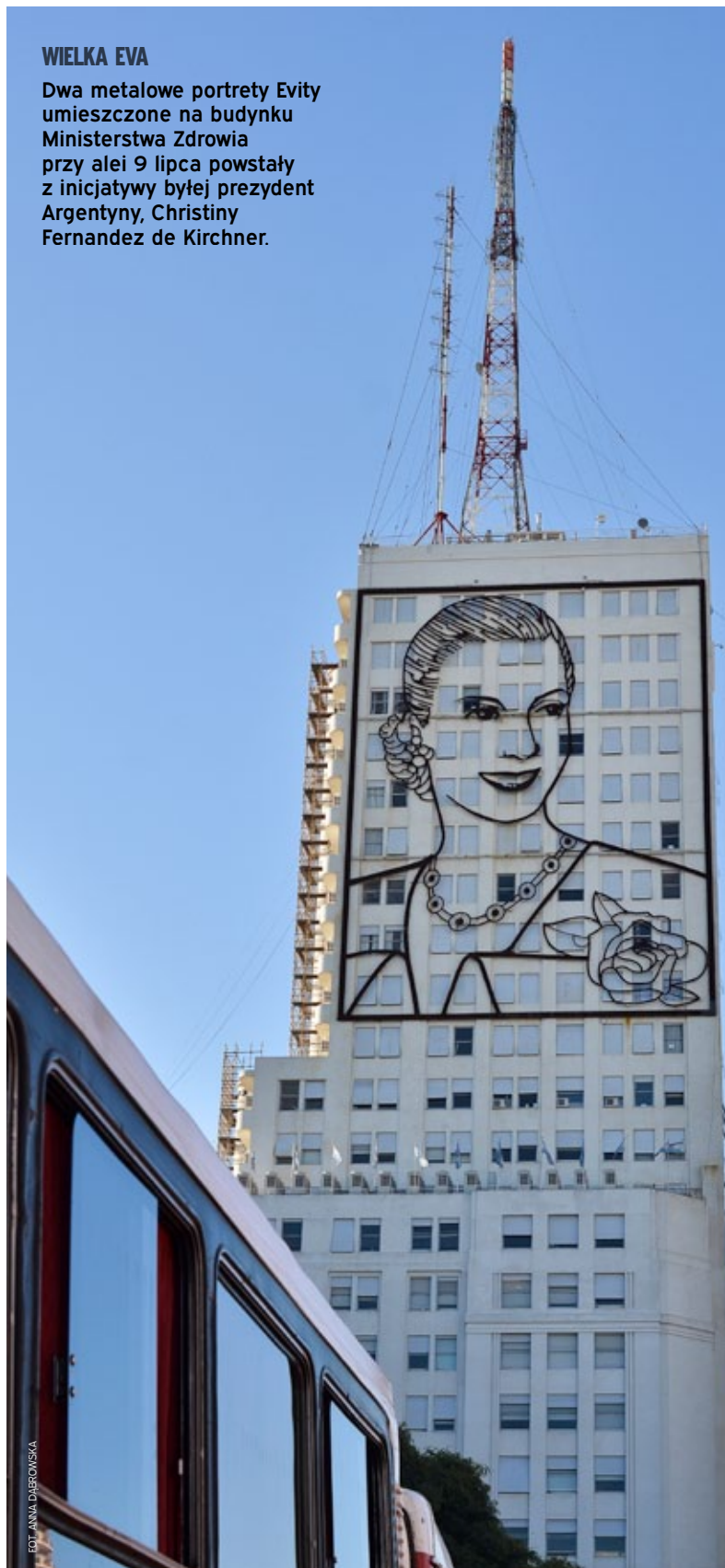
TWARZ ARGENTYNY

Eva pochodzi z biedy i nienawidzi bogaczy, którzy tylko udają działalność na rzecz najuboższych. Denerwują ją kobiety z wyższych sfer, których praca sprowadza się do organizowania sierot w grupy i wysyłania ich na ulice w celu zbierania pieniędzy. Eva zakłada fundację własnego imienia, której siedzibą staje się budynek Ministerstwa Pracy i Spraw Socjalnych. Jednak obiekt nie jest aż tak reprezentacyjny, aby wystarczająco godnie upamiętnić swoją bohaterkę. Z inicjatywy byłej prezydent Argentyny, Cristiny Fernandez de Kirchner, na gmachu Ministerstwa Zdrowia, który góruje nad aleją 9 Lipca, zawisły ciekawe portrety.

Aby utrwalić pamięć o Evie Peron i jej działalności, po obu stronach schodkowej fasady budynku umieszczono (w 59. rocznicę śmierci Evity) gigantyczne portrety z metalu. To tylko kontury, ale robią wrażenie, po zmroku zaś otacza je iluminacja, dzięki której włosy Evy zabarwiają się na blond, a ubranie na różowy

WIELKA EVA

Dwa metalowe portrety Evity umieszczone na budynku Ministerstwa Zdrowia przy alei 9 lipca powstały z inicjatywy byłej prezydent Argentyny, Christiny Fernandez de Kirchner.



FOT. ANNA DĄBROWSKA

**PAMIĄTKI
PIERWSZEJ DAMY**

Muzeum Evity przechowuje jej stroje i fotosy. Dzięki temu można poznać Evę i jej życie, a także dowiedzieć się, jak wyglądał jej zwykły dzień.

kolor. Z jednej strony widzimy wariację na temat oficjalnego portretu pierwszej damy, z drugiej – Evę z mikrofonem przemawiającą do tłumów w pełnym emocji stylu. Konstrukcję widać z daleka, a o sam budynek dosłownie można się potknąć, stoi bowiem prawie na środku szerokiej alei.

A jak wyglądała praca Evity i jej fundacji? Działania koncentrowały się na wspieraniu najuboższych. Walczyła o prawa kobiet, zrównała status dzieci niemalżeńskich z małżeńskimi, organizowała wakacje dla najmłodszych. Dzięki niej powstawały nowe szkoły, szpitale, kształcono nauczycieli i służbę medyczną, pielęgniarki uczyły się fachu i robiły prawa jazdy. Evita była tam, gdzie potrzebowano jej najbardziej, zawsze wśród ludzi. Bardzo kochała dzieci. Nie miała własnych. Przemierzała Argentynę wzdłuż i wszerz, żeby dotrzeć do wszystkich. Wywalczyła dla kobiet prawa wyborcze.

Jej portrety wisiały w prywatnych domach, traktowano ją jak świętą. Evita była dowodem na to, że droga do sukcesu jest otwarta dla wszystkich i że z biedy można się wyrwać – ołsniewała strojem, fryzurą, makijażem i biżuterią. Mówiła ludziom: „Mnie się udało, wy też tak możecie”. I wszyscy jej wierzyli. Evita była siłą sprawczą i napędzała zmiany w swoim kraju – skostniałym, pełnym niesprawiedliwości i wyzysku. Była dla ludzi, o siebie nie dbała. Każdy dzień Evy był wypełniony pracą i spotkaniami. Nie umiała odpoczywać, nie jadła regularnie, spała mało. Eksploatowała ciało niezwykle intensywnie, ignorowała postępującą chorobę. To ona, a nie Peron, była twarzą Argentyny.

WRÓCĘ I BĘDĘ MILIONAMI

Do Museo Evita w Buenos Aires weszłam na godzinę przed zamknięciem. Dobrze, że nie jest duże. Zgromadzono tu zdjęcia, filmy oraz rzeczy osobiste należące do Evy. Piękna czarna sukienka w kwiatowy wzór i dzisiaj byłaby modna. Torebeczki, kapelusze, buty to małe arcydzieła.

Evitę ubierał sam Christian Dior. Podczas Tęczowej Podróży do Europy w 1947 r. Evita odwiedziła Francję, gdzie nie tylko zaoferowała argentyńską pomoc dla narodu francuskiego, ale także posłuchała rad wybitnego projektanta, który zasugerował jej... zmianę fryzury. Zamiast wydatnego loka nad czołem zalecił jej gładkie uczesanie i upięcie włosów w okazały kok nad karkiem. Nowa fryzura Evity okazała się isticie polityczna, bowiem struktura masywnego koku miała symbolizować zaciśnięte



FOT. ANNA DĄBROWSKA

pięści wymierzone przeciwko oligarchii. Inną interpretacją uczesania były kłosa zboża, odnoszące się do naturalnego bogactwa Argentyny. Poza tym to właśnie Dior wymyślił dla Evy taki krój sukienek i garsoniek, aby maskował niezbyt obfity biust i wymęczony ciężką chorobą, zdeformowany brzuch.

Muzeum oraz fundacja imienia Evity kultuwają pamięć o niej. Dokumentują jej życie, gromadzą materiały i dokumenty, organizują wystawy. Samo muzeum mieści się w pięknym budynku przy Lafinur 2988 w dzielnicy Palermo. Wysokie stropy, wypastowane drewniane podłogi, a na zewnątrz bogato zdobiona metalowa furta i podcienie – pamięć o Evicie jest podtrzymywana w zachwycającej przestrzeni.

Podobizny Evity można kupić wszędzie. Jej twarz spogląda z portretów, kartek pocztowych czy plakatów. Tuż obok niej Ernesto Che Guevara na breloczku i papież Franciszek na magnesie. W Museo Evita wraz z biletem otrzymuje się pocztówkę z oficjalnym portretem Madonny Descamisados. Jej wizerunek widnieje na banknocie o nominale 100 pesos argentyńskich. Evita żyje w sercach Argentyńczyków. Ma to, o czym marzyła, czyli nieśmiertelność i żywą pamięć. *Volveré y seré millones!* – „Wrócę i będę milionami!” ○



DON'T CRY FOR ME ARGENTINA

Eva Peron została pochowana na cmentarzu Recoleta. Przed nagrobkiem każdego dnia ustawiają się tłumy zwiedzających.

FOT. ANNA DĄBROWSKA

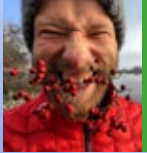


FOT. ANNA DĄBROWSKA



Anna Dąbrowska

Dziennikarka, tłumaczka, wólczyki, motocyklistka. Odwiedziła 50 państw na 5 kontynentach. „Kocia mama”, autorka książki dla dzieci „Podobno koty żyją dziewięć razy”. Prowadzi bloga „Projekt Dziadek. Blog z Powstania Warszawskiego” (projekt-dziadek.blogspot.com).



MIKROWYPRAWY
Łukasz Długowski



W PIANCE DO TORPEDOWNI

PHOT SHUTTERSTOCK

Przygoda nie wymaga długiego urlopu ani lotu na inny kontynent. To strata pieniędzy i czasu. Zdałem sobie z tego sprawę, kiedy byłem w Patagonii. Mam słabość do Ameryki Południowej i gdy tylko mogę – lecę. Ostatnim razem na półtora miesiąca. Żeby wyjechać, musiałem przez cztery miesiące harować jak wół. Po powrocie tak samo, żeby uzupełnić braki na koncie. Na sześć tygodni zostawiłem rodzinę i przyjaciół. Co prawda było bosko, ale czy koszty nie przerosły zysków?

Bylem przemęczony i zamiast cieszyć się z wyjazdu, chciałem po prostu odpocząć. Poza tym zauważyłem, że niektóre obszary Patagonii są jota w jotę jak Norwegia. A Norwegia jest bliżej, można polecieć na kilka dni. Trójmiejską Patagonią jest Bałtyk, obszar, który w świadomości większości ludzi istnieje tylko latem. A przez cały rok stwarza mnóstwo fantastycznych możliwości. Wystarczy

wyskoczyć nad morze na kilka godzin po pracy.

Pogoda była paskudna, wiało, padało i było szaro. Ale zamarzyło mi się, że popływam. Z Jaśkiem Sadowskim pojechałem do Babich Dołów. Jasiek jest specjalistą od stand up paddling, wicemistrzem Polski w tej dziedzinie za 2014 r. SUP to modyfikacja surfingu, został stworzony na akwenu, na których brakuje dużych fal albo na których w ogóle ich nie ma. Zabawa jest

prosta: stoisz na desce prosty jak struna i machasz długim wiosłem. Czyli trochę kajak, ale bez zabudowy, z lepszymi widokami i z możliwością kontaktu z wodą. Zamiast bać się, że woda przeleje ci się przez burtę, czujesz, jak przelewa ci się przez stopy.

Deska ma dużą wyporność, nie tonie, a wiosło pozwala poruszać się z dowolną prędkością, w dowolnym kierunku. Duży plus jest taki, że masz napęd naturalny,

więc nie szkodzisz środowisku. Deskę można także kupić dmuchaną, mieści się w plecaku.

Na parkingu przebraliśmy się w pianki piątki (o grubości 5 mm). Było zimno, temperatura wody wynosiła trzy stopnie, więc wciągnęliśmy na siebie jeszcze grube piankowe rękawice, kaptur i buty. Wyglądaliśmy jak kosmici z filmu fantasy klasy B. Wzięliśmy dechy pod pachy i zeszliśmy z klifu na plażę. Był styczeń, więc byliśmy sami. Jak okiem sięgnąć ani jednego turysty. Jasiak wyciągnął z plecaka gruby zwitek plastiku, podłączył do niego pompkę i zaczęliśmy dmuchać. Napompowanie SUP-a zajęło kilka minut, ale były to intensywne minuty, jak dorzucanie węgla do pieca. Niezła rozgrzewka przed wejściem na deskę.

Żeby trochę urozmaicić sobie przygodę, stwierdziliśmy, że popływamy wokół torpedowni z czasów II wojny światowej. To tu od 1942 r. niemiecka Luftwaffe montowała i testowała torpedy lotnicze. Dzisiaj jednostki specjalne Formozy ćwiczą tu abordaż.

Do budynku wyglądającego jak wybebeszony i spalony trup mieliśmy 300 m. Po drodze drewniane kołki, które kiedyś robiły za podpory pomostu łączącego brzeg z torpedownią. Dzisiaj są w fatalnym stanie, wstęp na nie jest wzbroniony, ale za to tworzą malowniczy element krajobrazu. Wejść na torpedownię też

bym nie próbował, ryzykowne może być nawet zbliżanie się do niej, bo pod wodą mogą być stalowe elementy. Upadek na nie może się źle skończyć.

Wiatr był od lądu, więc fale małe, ale z czasem, kiedy podmuchy zyskiwały na sile, coraz ciężiej było wiosłować. Człowiek stojący na desce działa jak żagiel, więc im mocniej wieje, tym mocniej spycha. Żeby było łatwiej, wystarczy przykłęknąć i wiosłować lekko przygarbionym. Opór od razu maleje, a do tego łatwiej jest złapać równowagę.

Kucnąłem zaraz po tym, jak mocniej zawiało, Jasiak chwilę później. Trochę mi ulżyło, bo myślałem, że cykorzę, ale skoro on przykłęknął, to znaczyło, że naprawdę trzeba było. W pewnym momencie zaczął nawet coś przebąkiwać o małym szkwale.

Mieliśmy niesamowite szczęście do wody – czysty kryształ. Dno było widoczne na 4–5 metrów. Jasiak mówił, że z jednej strony to kwestia wiatru od lądu, dzięki któremu woda nie jest zamulona piaskiem, z drugiej – fitoplanktonu, którego było dużo mniej niż latem. Z kolei kiedy opłynęliśmy torpedownię i stanęliśmy od strony otwartego morza, woda miała kolor głębokiej, butelkowej zieleni. Patrzyliśmy na nią zauroczeni.

Żeby nie było za dobrze, do nozdrzy przebijał się smród gnijących ryb. Jasiak mówił, że prawdopodobnie dostały się do środka podczas sztormu, nie potrafiły

już wypłynąć i zgniły. Nie miałem ochoty sprawdzać. Bardziej ciekawił mnie ogromny płat śniegu, który zachował się na jednej ze ścian. Kapało z niego jak z odkręconego kranu. Przepłynęliśmy pod nim, żeby strzelić sobie sweet focie, a potem zrobiliśmy jeszcze kilka kółek i pobujaliśmy się na falach.

Kiedy wracaliśmy do brzegu, cały czas gapiłem się w wodę. Już kilkanaście metrów od torpedowni mogłem zobaczyć dno, a na nim pofalowany, żółty piasek. Czułem się jak nad Morzem Śródziemnym, na Krecie albo Lazurowym Wybrzeżu, tylko temperatura mi nie pasowała.

Przez cały czas, kiedy pływaliśmy, słyszeliśmy w oddali odgłosy z wojskowego lotniska w Babich Dołach. Ten sam, powtarzalny dźwięk startu helikoptera. Kiedy dobiliśmy do brzegu, przelecieli nam nad głowami.

– A po prawej, na klifie, jest radar. – Pokazałem Jaśkowi.

– Próbują nas namierzyć – odpowiedział. – Ale spoko, mamy pianki w technologii stealth, niewidoczne dla radarów.

Wyciągnęliśmy sprzęt, Jasiak w 10 minut spuścił powietrze z deski i ruszyliśmy do samochodu. Całość, z dojazdami, przebieżką na parking i pływaniem zajęła nam trzy godziny. Na tyle krótko, że można zrobić to po pracy, i na tyle ekscytująco, że będzie co wspominać przez następne dni przy biurku. ○



FOT. LUKASZ DŁUGOWSKI

Informacje praktyczne:

- Miejsce: Bałtyk, Gdynia-Babie Doły.
- Czas: 3 h.
- Co zabrać: deska, wiosło, zależnie od pogody piankę, rękawice, kaptur i buty.
- Koszty: 20 zł/h wypożyczenie deski i wiosła (www.supacademy.pl), 60 zł/dzień za wypożyczenie zestawu: pianka, kaptur, rękawice, buty.
- Poziom trudności: niski, nie wymaga specjalistycznych umiejętności, ale konieczne jest krótkie przeszkolenie.

Lukasz Długowski

Absolwent filozofii, podróżnik, dziennikarz. Autor książki „Mikrowyprawy w wielkim mieście”. Swoje przygody relacjonuje na Facebooku i Instagramie: Mikrowyprawy

GDZIE SŁOŃCE WSTAŁO DWA RAZY

Agnieszka Mikulec





Jeśli spędza się dzieciństwo w sadzie pełnym jabłoni, aż tak nie kuszą obsypane kwiatami drzewa w Kraju Kwitnącej Wiśni. Jeśli jechało się Eurostarem, nie dziwi jazda shinkansenem. Jeśli mieszkało się w metropolii z drapaczami chmur, nie robią aż takiego wrażenia budynki w miastach Kraju Wschodzącego Słońca. Natomiast pobyt w Hiroszynie w rocznicę zrzucenia bomby atomowej to czas, którego nie sposób zapomnieć. We mnie zostanie na całe życie.

**PARK PAMIĘCI**

Po lewej Kopuła Bomby Atomowej, po prawej cenotaf z nazwiskami ofiar. Nikt nie przechodzi obojętny.

FOT. AGNIESZKA WIKULC

WETERANI NA SZYNACH
Mieszkańcy Hiroszimy nie pozwolili, by stare tramwaje, pamiętające wybuch bomby, wymienić na nowoczesne.

Hiroszima to na pozór miasto takie samo jak każde inne japońskie: ciasna zabudowa wysokich, nowoczesnych budynków, by wykorzystać każdy centymetr ziemi, dużo mostów, zielone drzewa przy nadrzecznych bulwarach, fabryka samochodów Mazda. A jednak świadomość historii tego miejsca każe mi inaczej je postrzegać, w ciszy przyglądać się, snuć refleksje i dziękować Opatrzności, że nie urodziłam się tu i nie mieszkałam 6 sierpnia 1945 r.

PAMIĘĆ I POKÓJ

Niektórzy, porównując fotografie po wybuchu bomby i widok dzisiejszej metropolii, stwierdzają, że powstała jak Feniks z popiołów. Wyjazd do Japonii starałam się zaplanować tak, aby znaleźć się w Hiroszynie właśnie w rocznicę największej tragedii tego miasta. I oto jestem w słoneczny, jasny, wczesny poranek – pogoda jak wtedy, gdy Amerykanie zrzucali bombę atomową, paradoksalnie nazwaną pieszczotliwie „chłopczykiem”. Stoję na odbudowanym moście Aioi, który był punktem na tyle charakterystycznym, że załoga bombowca właśnie w niego celowała. Zabytkowe tramwaje suną po torach, część z nich traktuje się jak zasłużonych weteranów, gdyż po wybuchu bomby zawożono nimi rannych do lekarzy, przewożono leki i jedzenie.

Ludzie spokojnie zmierzają na uroczystości rocznicowe z różnych stron Parku Pokoju. Rozmawiają, są pogodni jak wówczas, gdy idąc do pracy, szkoły, o godzinie 8.15 ujrze-li nagle oślepiający błysk na niebie. Mówili później: „Wtedy nad Hiroszimą słońce wstało dwa razy”. Niedaleko mostu stoi znany na całym świecie budynek, zwany Kopułą Bomby Atomowej (Genbaku Dōme) – wtedy mieściła się tutaj Organizacja Promocji



FOT. AGNIESZKA WIKULC

Rozwoju Przemysłu. Ktoś może segregował dokumenty, inny czytał ważną depezę. Nie został po nich... nawet guzik. To jedna z niewielu konstrukcji, której mury i żelazna kopuła przetrwały uderzenie, i jedyna, która pozostała w takim kształcie od 1945 r. Turyści robią sobie na jej tle obowiązkowe zdjęcia, sędziwy, zgarbiony Japończyk zatrzymuje się na chwilę i patrzy w zamyśleniu na betonowy szkielet.

Ludzie, a ja wraz z nimi, zmierzają w stronę kamiennego cenotafu w kształcie odwróconej litery U, co ma nawiązywać do kształtu tradycyjnych domów. To symboliczny pomnik-grobowiec, gdzie zapisano nazwiska ofiar i wciąż się je dopisuje. Wokół żółte chryzantemy, ludzie ubrani na biało modlą się i oddają hołd, obok płonie Ogień Pokoju, który ma zostać wygaszony dopiero wtedy, gdy zniknie na ziemi broń nuklearna. Jak długo będzie jeszcze płonął? Rocznica ma charakter uroczysty, poważny. Są przemówienia, koncert chóru i, jak co roku, w niebo wzlatają tysiące gołębi symbolizujących pokój.

Udaję się do Muzeum Pamięci i Pokoju. Tu oglądam stare fotografie Hiroszimy, w której tętniło życie przed wybuchem, współczesne obrazy, na których jęzory ognia ogarniają budynki i ludzi – jakby symboliczne piekło na ziemi. Przystaję przy ogromnej makiecie, na której techniką trójwymiarową zwizualizowano wybuch bomby. Wysłuchuję relacji osób, które przeżyły ten straszny dzień. Skupiam uwagę na zdeformowanych przedmiotach codziennego użytku. Na myśl przychodzi mi fraza z wiersza „Muzeum” Szyborskiej:

Są talerze, ale nie ma apetytu.

Są obrączki, ale nie ma wzajemności

A ja, patrząc na przedmiot w jednej z gablotek, w myślach dopisuję:

Jest zegarek, a nie ma pana Akito Karwagoe.

Odwiedzający muzeum mają niemal kamienne twarze, po których czasem spływają łzy, ktoś pociąga nosem. Bo pobyt tutaj to czas przepełniony refleksją, zatrzymywaniem się nad pojedynczymi historiami tych, którzy zginęli, i tych, którzy musieli żyć po...

TYSIĄC ŻURAWI SADAKO

Wychodzę z muzeum, po chwili zaczyna padać deszcz. Zauważam, że starsi ludzie dziwnie



Polski Caravanning

Podróż przecież nie zaczyna się w momencie, kiedy ruszamy w drogę, i nie kończy, kiedy dotarliśmy do mety.

Ryszard Kapuściński



Zaprenumeruj 6 wydań za 75 zł

prenumerata@polskicaravanning.pl, tel. 58 777 01 25-28 wew. 308, tel. 604 407 079

www.polskicaravanning.pl

R E K L A M A

spoglądają na siebie. Nie rozumiem. Po chwili jednak przypominam sobie, że deszcz w Hiroszynie, w dodatku 6 sierpnia, budzi negatywne skojarzenia. Poparzeni ludzie, spragnieni wody, witali go jako zbawienny dar przyrody. Nie wiedzieli, że wraz z nim opadał szalenie niebezpieczny pył radioaktywny. Wystawiali twarze ku górze, wychodzili, łapiąc wodę z nieba. Nikt nie ostrzegł ich, jaki potworny ból im przyniesie.

Pod parasolem zmierzam w kierunku pomnika dziewczynki o imieniu Sadako, która 10 lat po wybuchu bomby atomowej zachorowała na chorobę popromienną. Leżąc w szpitalu, wymyśliła, że jeśli uda jej się zrobić z papieru tysiąc żurawi (japoński symbol szczęścia i długowieczności), to wyzdrowieje. Lekarze, widząc, że dziewczynka słabnie i jest jej coraz trudniej składać papierowe ptaki,





FOT. TERRY MURA - FLOR.COM

SMUTNY SPEKTAKL

Lampiony na rzece w pobliżu Kopuły Bomby Atomowej tworzą niepowtarzalne widowisko.

Są puszczane przede wszystkim w celu uczczenia ofiar ataku nuklearnego.

postanowili pomóc. W kompletowanie tysięcy żurawi zaangażowali się inni młodzi pacjenci, a potem dołączyli do nich koledzy i koleżanki z klasy Sadako. Wiara dziewczynki i ogromna chęć życia sprawiły, że jej historia poruszyła serca ludzi, a papierowy żuraw stał się symbolem pokoju. Pomimo śmierci małej mieszkanki Hiroszimy pamięć o niej nie zagasła. Wokół pomnika zgromadzono w gablotach tysiące kolorowych, papierowych żurawi, które przynosi się tutaj, aby oddać hołd dziecku, a przede wszystkim zmarłym w wyniku chorób popromiennych.

Po wólczędzie ulicami współczesnej Hiroszimy udaje mi się spałaszować pyszne *okonomiyaki*. Już sama nazwa: „smaż, co lubisz”, wyjaśnia charakter potrawy. Występuje ona w wielu wariantach, w Hiroszynie składniki, np. jajka, mąkę, kapustę, wodorosty, krewetki, pieczarki itd., układa się warstwami i smaży na rozgrzanej blasze.

Wieczorem wracam do Parku Pokoju. Stoję i nie mogę się ruszyć. Ogarnia mnie trudne do opisanego wzruszenie. Jest ciemno, ale rzekę rozjaśniają tysiące różnokolorowych lampionów, wewnątrz których mruga ciepłe światło świec. Oczekujący na swoją kolejkę wysłania tego świetlistego „listu pokoju” rzucają cienie na chodnik, co wygląda jak pochod duchów. Mieszkańcy i goście ozdobili ostonki

lampionów hasłami nawołującymi do pokoju, miłości. Rysowali serca, tęcze, dostrzegam też zegar z godziną 8.15.

Zamglony księżyc przesłaniają czarnoszare chmury. Kameralna orkiestra przejmującą muzyką otula zgromadzonych. Wokół Kopuły Bomby Atomowej ustawiono setki zniczy w białych ostonkach, które wcześniej zostały udekorowane przez dzieci. Nie mam ochoty fotografować, nie chcę zastanawiać się nad uwarunkowaniami polityczno-historycznymi dotyczącymi słuszności lub bezcelowości zrzucenia bomby. Mam tylko pragnienie, by patrzeć, słuchać, dotykać, czuć.

DZIECI HIROSZIMY

Z zamyślenia wyrывa mnie para nastolatków, która w ramach szkolnego projektu pyta, co dla mnie znaczy pokój, jak w codziennym życiu realizuję swoją deklarację pokojową, czy zapaliłam lampion i czy znam historię Okinawy. Na ostatnie pytanie odpowiadam przecząco, więc zaraz dopytuję młodych rozmówców, aby uzupełnić wiedzę. Opowiadają, jak rdzenna ludność Okinawy bardzo ucierpiała, zarówno w wyniku działań zbrojnych, jak i masowych samobójstw popełnianych na skutek propagandy japońskiej, zapowiadającej, że z rąk Amerykanów czeka mieszkańców los gorszy

od śmierci. To, że wspominają o propagandzie, oznacza jakiś przełom w edukacji młodych Japończyków, bowiem ten temat był przez lata przemilczany w oficjalnym nauczaniu. Otrzymuję od nich białego, papierowego żurawia, który nie opuszcza już mojego portfela.

Aby przekierować rozmowę na inne, mniej tragiczne tory, pytam o świętowanie Dnia Dziecka w Japonii. Okazuje się, że do 1948 r. osobno obchodzili go dziewczynki, 3 marca (*Hina matsuri*). Wtedy zaczynają kwitnąć brzoskwinie, stąd druga nazwa: Święto Brzoskwińowe. Piekło się ciasteczka w kształcie diamentu o trzech warstwach kolorystycznych: różowej jak kwiat brzoskwińi, białej jak śnieg, zielonej jak oznaki wiosny. Natomiast chłopcy mieli swoje święto 5 maja (*Tango no sekku*), jego symbolem był tatarak. Pytam, dlaczego akurat on. Młodzi ludzie patrzą na mnie i pewnie dziwią się mojej niewiedzy. Wyjaśniają, że przecież tatarak jest podobny do miecza samuraja. Z tej okazji dorośli przygotowują aromatyczne ciasteczka ryżowe w kształcie stożka otoczonego liściem bambusa. Chłopcy otrzymują lalki w kształcie walecznego wodza samurajów, a dziewczynki takie, które mogą same malować, dekorować.

Od 1948 r. Dzień Dziecka jest obchodzony wspólnie 5 maja. Wtedy rozwiesza się małe, średnie i wielkie porporce w kształcie karpi

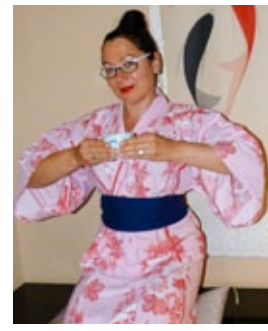
(*koinobori*), które są symbolem odwagi i umiejętności pokonywania przeszkód. Według legendy karp, płynąc w górę rzeki, napotkał na swej drodze wodospad, jednak pomimo usilnych starań nie mógł go przeskoczyć. Bogowie zlitowali się



nad nim i zamienili go w skrzydlatego smoka, który wzbił się do nieba. W myślach dopowiadam, że dziś to ja wlatywałam duchem ponad poziomy, uczestnicząc w tak niezwykłym wydarzeniu w Hiroszimie. ○

WSTRZĄSAJĄCA EKSPOZYCJA

Twarzyczka małej Sadako w trumnie i krajobraz po zrzuceniu bomby to tylko niewielki fragment tego, co można zobaczyć w Muzeum Pamięci i Pokoju. Przed budynkiem stoi pomnik Matki i Dziecka w Czasie Burzy.



Agnieszka Mikulec

Animatorka kultury polskiej w kraju i za granicą. W podróżach nade wszystko ceni spotkania z ludźmi. Ma na swoim koncie publikacje dydaktyczne m.in. dla Narodowego Instytutu Audiowizualnego i wydawnictwa Rubikon.



MORZA SZUM

Szybująca nad wydumą mewa to nie tylko logo Słowińskiego Parku Narodowego, ale również bardzo częsty widok. Można tu spotkać prawie 260 gatunków podniebnych wędrowców. Natura niezwykle zaprojektowała ten skrawek wybrzeża. Z jednej strony o brzeg uderzają fale, a z drugiej lasy i bagna chronią dostęp do najdzikszych zakątków. Turyści mogą zobaczyć jedynie niewielką część parku i niemal za każdym razem będzie to inny pejzaż – ruchome wydmy zmieniają położenie od 3 do 10 m rocznie. Tylko las zdaje się niezmienny, ale i jego czasem pochłania piasek.

Wokolicach Łeby bywam od 1995 r., kiedy pierwszy raz zobaczyłem Bałtyk. Od tamtej pory te miejsca tkwią mocno w mojej pamięci, mimo że za każdym razem są inne. Po wejściu na szczyt Wydmy Łąckiej mogę rozpoznać tylko pojedyncze fragmenty pejzażu. Gdyby nie zdjęcia sprzed lat pomyślałbym, że jestem w tym miejscu pierwszy raz. Ten efekt potęguje się, kiedy odwiedzam okolice po dłuższej przerwie – wtedy krajobraz dookoła jest zupełnie nieznamy. Latem ruchome wydmy i przyroda parku przyciągają rzesze ciekawskich turystów. Jak jest zimą?

Przed wszystkim zimno. Rejon słynie z bardzo wietrznego klimatu, a jak wiadomo – nic nie wyziębia tak, jak wiatr. Trzeba o tym pamiętać, gdy wybieramy się na wycieczkę na wydmy i plażę. Bywa tak, że w Klukach czy Smołdzinie jest przyjemnie ciepło, a nad morzem wiatr szaleje bez opamiętania. Nieważne, czy w sezonie, czy zimą, ja wybieram zawsze zachodnią część parku z Wydumą Czołpińską na

czele. W środku lata jest tu również stosunkowo spokojnie i zdecydowanie lepiej niż na Wydmie Łąckiej, która znajduje się bliżej Łeby.

Podróż samochodem przez kręte, wąskie drogi jest przyjemna. Zaglądam zawsze do małej miejscowości Kluki, gdzie znajduje się Muzeum Wsi Słowińskiej. Zimą nie ma ono co prawda aż takiego uroku, bo to przecież skansen, ale spacer nad jezioro Łebsko jest zawsze przyjemny. Ta droga jest wyjątkowo wąska i latem co chwila trzeba zjeżdżać na pobocze, by wyminąć kogoś z przeciwną. Zimą zupełnie tego problemu nie miałem. Przez niemal cały dzień nie spotkałem nikogo, a na parkingu w Czołpinie stał tylko mój samochód.

Dojście do wydym z tej strony jest również bardzo przyjemne i nie tak długie jak odcinek Łeba – Wydma Łącka. Tutaj po około 20 minutach spaceru czerwonym szlakiem dojdziemy do początku wydmy. Opcji wejścia w świat plaż i wydym jest

kilka – można iść obok latarni morskiej na wzgórze, istnieje również szlak odbijający jeszcze bardziej na zachód, którym też dotrzemy do plaży. Ja wybieram jednak jak najszybsze dojście do pustynnego krajobrazu, więc najpierw wędruję po wydmach, a później plażą idę na zachód aż do wyjścia koło Czerwonej Szopy – latem funkcjonuje tu bar. Wycieczkę po tym terenie trzeba dobrze zaplanować, bo wyjść z plaży nie ma zbyt wielu. Dzielące je odległości nie są małe, a dzień krótki.

Przy Wydmie Czołpińskiej zaczyna się mozolne podejście. Marsz jest utrudniony głównie przez piasek, i o ile latem można wędrować tutaj boso, to teraz spacer w butach zimowych nie jest łatwy. Takich podejść, zanim dotrzemy do plaży, czeka jeszcze kilka. Przed laty szlak był wyznaczony głównie przez ludzkie ślady. Dzisiaj wskazują go tyczki i liny. Dzięki temu nie ma mowy o zbłądzeniu. Na wydmach nie można pozostać niezauważonym – jeśli zejdziemy ze szlaku, strażnik trafi do nas

jak po nitce do kłębka. Choć odnosi się wrażenie, że to tylko piasek, świat flory i fauny jest tutaj niezwykle bogaty, dlatego tak usilnie chroni się wydmy przed ich rozdeptywaniem.

Wytyczające drogę tyczki prowadzą przez bardzo ciekawe miejsca. Momentami ze wzniesień można podziwiać rozległe przestrzenie, gdzie króluje piasek, a po chwili w dole już nie widać nic poza falującymi na wietrze trawami. Trzeba pokonać kilka wzniesień, aż z ostatniego wyraźnie zobaczymy morze. Do przejścia pozostanie niewielka linia lasu i po chwili widać jedną z najpiękniejszych plaż nad polskim Bałtykiem. Nie jest znana z pocztówek z masą parawanów czy budek z goframi – tutaj króluje natura. Czasem wiatr odsłania tysiące kamyczków, czasem powalone przed laty drzewo. Krajobraz niemal każdego dnia jest inny. Po niemal 2 km spaceru znowu wchodzę w las. To wspaniałe uczucie. Szumiące morze powoli traci moc i im bliżej parkingu, tym słychać je coraz mniej. Tutaj wiatr cichnie.

Do ciekawych miejsc w okolicy zaliczam też miejscowość Rowy, ale bardziej namawiam do pokonania jeszcze paru kilometrów do Poddąbia. Można tu podziwiać piękne buki rosnące na klifie i niezwykle pejzaże na plaży. Przy odrobinie szczęścia spróbujemy w okolicy (dokładnie w Starkowie) pysznego śledzia w Zagrodzie Śledziowej. Tutaj mieści się też jedyne w Polsce... Muzeum Śledzia i cała wystawa poświęcona tej rybie.

Zimowy spacer po Słowińskim Parku Narodowym i okolicznych plażach to wariant dla zdeterminowanych. Dookoła wieje pustką, niemal wszystko jest zamknięte. Mimo tych niedogodności odważę się stwierdzić, że kto raz posmakuje bałtyckich klimatów po sezonie, ten nigdy już nie będzie chciał zaglądać tutaj w innej porze roku. ○

Mikołaj Gospodarek

Większość podróży podporządkowuje utrwalaniu świata na zdjęciach. Ukończył studia na Wydziale Filmu i Fotografii w WSSiP w Łodzi.

Jego prace można spotkać w kalendarzach, książkach i na pocztówkach w Polsce i Europie. Realizuje dużo projektów wieloletnich, wraca w niektóre miejsca cyklicznie. Nieustannie poszukuje nowych, mało znanych lokalizacji.



FOT. MIKOŁAJ GOSPODAREK

NAD NIEMNEM

Wilhelm Karud

FOT. SHUTTERSTOCK





Odwiedziny turystów w przygranicznej części Grodzieńszczyzny nasiliły się rok temu. Dekretem prezydenta Białorusi wprowadzono ruch bezwizowy dla obywateli państw Unii Europejskiej. Bez uciążliwych formalności i opłat można korzystać z czterech przejść granicznych – dwóch z Polski i dwóch z Litwy. Pobyt do pięciu dni pozwala zwiedzić Grodno i okolice oraz tereny parku Kanał Augustowski.

Aby przekroczyć granicę, trzeba mieć paszport, ubezpieczenie zdrowotne i około 20 euro na każdy dzień pobytu. Wymagany jest też dokument uprawniający do indywidualnego zwiedzania Kanału Augustowskiego z wyszczególnionymi nazwami przejść granicznych. Wszystkie niezbędne informacje znajdują się na stronach internetowych ambasady Białorusi w Warszawie.



FOT. WILHELM ARNOLD

ŚLIZOWANIE W POKOLENIU SZÓSTYM

Obok liczącego ponad sto lat domu rodziny śluzowego w Niemnowie spotykam się z Siarhiejem. Zastępca szefa Republikańskiego Związku Turystyczno-Sportowego ma dziś sporo na głowie. Od rana śledzi postęp prac przy rozbudowie stacji dla kajakarzy i rowerzystów. Pilnuje dokładności układania kostki brukowej i pomaga dobierać kolory

farb do elewacji noclegowni. Sprawdza stan techniczny kajaków, odbiera dostawę kapoków, wita holenderskiego „ptakoluba”, który zapuścił się nad rzekę Ostaszankę, by obserwować czaple siwe. Energiczny menadżer ma dla mnie tylko godzinę, bo potem jeszcze musi być w Grodnie.

Domy śluzowych powstawały wraz z postępującą budową kanału, rozpoczętą niemal dwieście lat temu. Od Biebrzy do Niemna było ich tyle samo, co śluz – osiemnaście. Te drewniane zostały zniszczone przez pożary i pierwszą wojnę światową, a murowane w większości zachowały się w niezłym stanie. W niektórych mieszka już szóste pokolenie rodzin zajmujących się śluzowaniem. W Dąbrówce dwa lata temu w takim właśnie budynku powstało Muzeum Kanału Augustowskiego.

Samorząd Augustowa wspierany przez partnerów z Białorusi wznowił ostatnio starania zmierzające do wpisania całego szlaku na listę UNESCO. Teraz zasadniczym argumentem będzie przedstawienie kanału jako unikalnego obiektu transgranicznego, harmonijnie łączącego wartości kulturowe z cenną przyrodą. Długi na ponad 100 km trakt wodny w pierwotnym zamyśle miał dopływać do Wisły i częścią zlewiska Niemna omijać pruskie punkty celne w drodze do Bałtyku. Projekt polskich inżynierów nie spełnił swych gospodarczych celów, ale w istotny sposób przyczynił się do ucywilizowania dużego obszaru kraju.

Chwilę stoimy przy stuletniej kapliczce morowej z napisami w języku polskim i rozmawiamy o dziejach Grodzieńszczyzny. W połowie średniowiecza była to część Księstwa Połockiego, a potem ważny ośrodek Czarnej Rusi. Właśnie z tym okresem Białorusini kojarzą początki rodzenia się własnej tożsamości narodowej. Z Księstwa Połockiego w XII w. wydzieliło się Księstwo Mińskie, a także Borysowskie, Witebskie i Gorodeńskie. Za czasów Rzeczypospolitej Obojga Narodów tereny te były niemal jądrem Wielkiego Księstwa Litewskiego. Po rozbiorach Grodno i okolice stanowiły graniczące z Prusami terytorium, a po traktacie ryskim – kresy II Rzeczypospolitej. W okresie międzywojennym przeważała tu ludność polska, zdecydowanie mniej było Białorusinów, Litwinów, Rosjan. Po wojnie te proporcje zasadniczo się zmieniły,

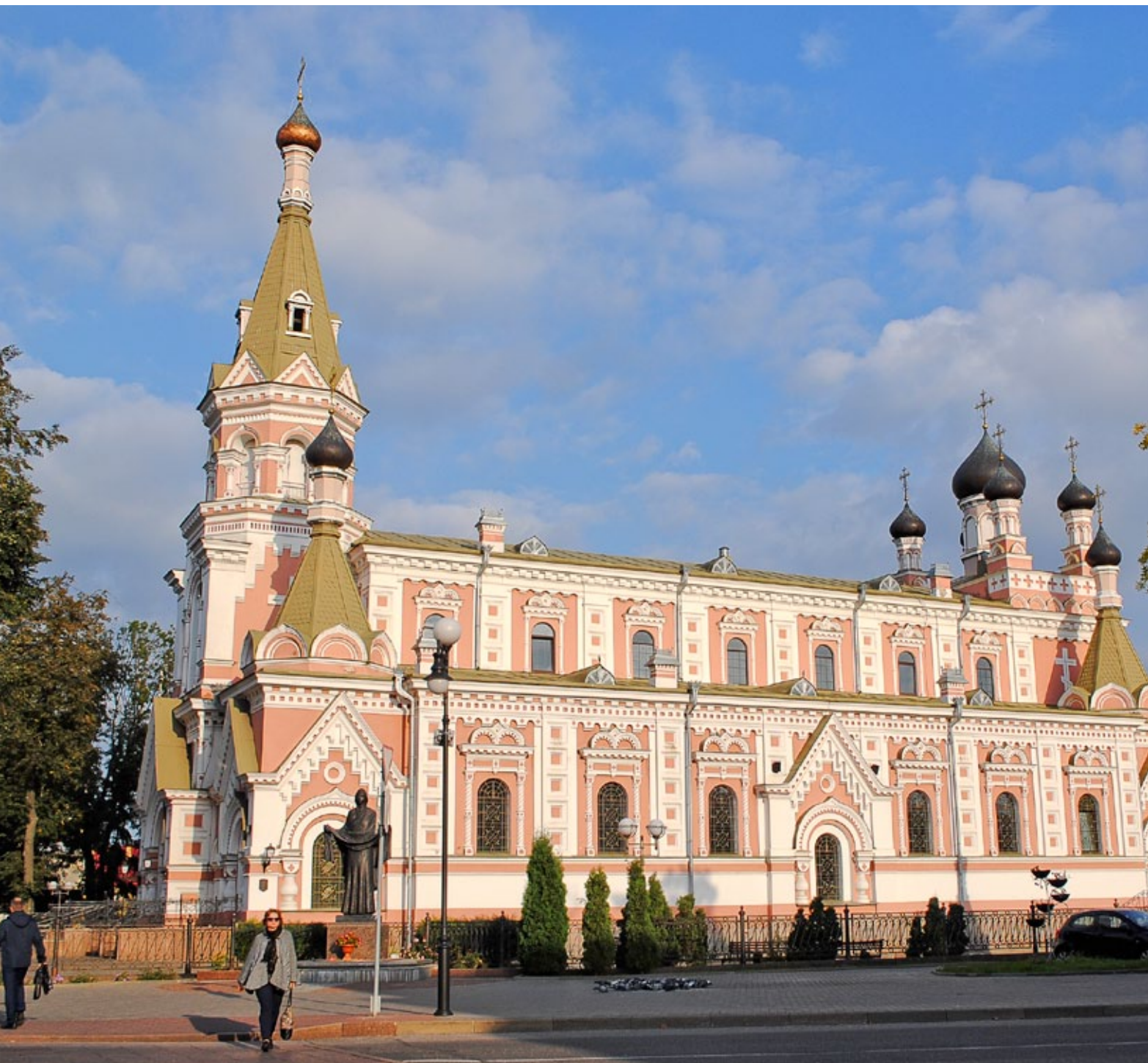
ŚLUZA DĄBRÓWKA

Została wybudowana przed dwoma wiekami, pod okiem inż. Jerzego Arnolda, i nadal jest czynnym obiektem żeglugowym. To druga z trzech śluz na białoruskim odcinku Kanału Augustowskiego, a siedemnasta – licząc od Biebrzy. Obok działa muzeum poświęcone budowie i dziejom kanału.

choć Polacy nadal stanowią znaczący odsetek ludności regionu.

W ciągu roku Grodno i okolice odwiedziło około 50 tys. polskich turystów. Przyjeżdżają głównie przez przejście Kuźnica Białostocka – Bruzgi. Modne stały się spływy

kajakowe Kanałem Augustowskim, wyprawy rowerowe i piesze. Najaktywniejsi korzystają z przejścia Rudawka – Lesnaja. Wodniacy kontynuują spływ kanałem, kierują się w stronę Niemna, a nawet na Litwę. Rowerzyści korzystają z oznakowanych ścieżek, a piesi jadą dalej



środkami lokalnej komunikacji. Duża część przyjeżdża z sentymentu. Chce odwiedzić kraj przodków, poszukać śladów naszej bogatej historii. Inni nad Czarną Hańczą, Niemnem i Marychą raz jeszcze przeżyją przygodę z literaturą. Podążą ścieżkami bohaterów powieści

Elizy Orzeszkowej czy Melchiora Wańkowicza. Na Grodzieńszczyznę jadą też wędkarze, bo wody tam coraz czystsze, a łowić można bez specjalnego zezwolenia.

CO MÓWIĄ WIEKI

Centrum Informacji Turystycznej w Grodnie powstało niedawno. Po zniesieniu wiz nagle wzrosło zapotrzebowanie na fachowe informacje krajoznawcze oraz związane z zakwaterowaniem i poruszaniem się po regionie. W niewielkim pomieszczeniu przy ul. Orzeszko 38 zgromadzono bogaty zasób wielojęzycznych map, przewodników i folderów. Jest dużo gratisów, między innymi dokładna mapa Suwalszczyzny i obwodu grodzieńskiego. Dołączono do niej informator z opisem atrakcji wzdłuż całej trasy Kanału Augustowskiego. W Centrum można załatwić noclegi, wycieczki indywidualne i grupowe, przewodnika oraz transport. Departament Sportu i Turystyki Komitetu Wykonawczego Obwodu Grodzieńskiego ma kolejne plany. Przy brzegach białoruskiego odcinka Kanału

Augustowskiego, liczącego niemal 20 km, wkrótce powstaną małe osady etnograficzne. Projektuje się kompleksy agroturystyczne i obiekty gastronomiczne serwujące tradycyjne dania regionu. Całkiem możliwe, że odprawy bezwizowe wprowadzi się wkrótce na lotnisku Grodno, oddalonym od miasta o kilkanaście kilometrów.

Stoję przed statua wielkiego księcia Witolda, między dwoma zamkami. Stary Zamek, skromny i do końca nieodbudowany, pamięta czasy książąt ruskich, Jagiellonów i Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Początkowo drewniany, a po wielu pożarach murowany, gotycki z pięcioma basztami, przeżywał oblężenia Krzyżaków, Szwedów i Rosjan. Znosił niesnaski Witolda z Jagiełłą, pełnił rolę sali sejmowej i rosyjskich koszar. Był rezydencją królewską i miejscem śmierci Kazimierza Jagiellończyka, jego syna św. Kazimierza oraz Stefana Batorego.

Z kolei Nowy Zamek powstał za panowania Augusta III Sasa. Barokowa siedziba króla miała zastąpić stary gród, poważnie zniszczony podczas wojen północnych. W jej salach podpisywano jeden z traktatów rozbiorowych i przyjmowano abdykację ostatniego króla Polski. Zaborcy rosyjscy doprowadzili do zniszczenia części architektury zamku, a niemieckie bomby w 1941 r. zamieniły go w ruinę. Po wojnie obiekt odbudowano w stylu socrealizmu, zachowując barokowy kształt skrzydeł bocznych.

Łagodne wzgórza, na których przez tysiące lat rozbudowywało się Grodno, są pełne pamiętek z dziejów Polski. Zachowały się pałace Stefana Batorego, rodu Sapiechów i Stanisława Augusta Poniatowskiego. Są kościoły, pojezuicki i pobernardyński, oraz dwa klasztory działające przy innych świątyniach rzymskokatolickich. W domu, gdzie kilkanaście lat życia spędziła Eliza Orzeszkowa, jest muzeum poświęcone wielkiej pisarce. Ze wzgórz zamkowego widać większość świątyń, nie tylko tych związanych z naszymi dziejami. Na prawym brzegu Niemna wznoszą się surowe mury cerkwi Świętych Borysa i Gleba. To najstarsza cerkiew prawosławna w Grodnie i jedyny w zachodniej Białorusi zabytek architektury staroruskiej sprzed najazdu mongolskiego. Nieco dalej widzimy Wielką Synagogę zwaną

SOBÓR PRZY ORZESZKOWEJ

Ta prawosławna świątynia w stylu pseudoruskim, mająca rangę katedry, powstała ku czci żołnierzy poległych w wojnie rosyjsko-japońskiej (rok budowy 1907). Stoi dziś przy ul. Elizy Orzeszkowej.



FOT. WILHELM HARBUD

Chóralną, wybudowaną w pierwszych latach ubiegłego wieku. Imponująca budowla w stylu eklektycznym i mauretańskim powstała w miejscu poprzednich drewnianych bóżnic. Neogotycki, ewangelicko-augsburski kościół św. Jana w Grodnie stoi przy ul. Akademickiej. Powstał na potrzeby niemieckich rzemieślników sprowadzonych do Grodna w końcu XVIII w.

Ze wzgórza zamkowego schodzę w kierunku centrum miasta. Zatrzymuję się przed grodzieńskim Teatrem Dramatycznym. Bryła gmachu jest nazywana Koroną Batorego, choć sam król na wizerunkach przedstawiany był zwykle w węgierskiej czapie z piórką. Obchodzę mury cerkwi Narodzenia NMP i klasztoru bazylianek. Prawosławna świątynia i monastyr sąsiadują z placem Sowieckim, ulicą Komuny Paryskiej i Muzeum Historii Religii. Na ul. Stefana Batorego mijają mnie turystyczny autokar z Olsztyna. Z hotelu Nieman wychodzą uczestnicy wycieczki z Izraela, kierują się w stronę Synagogi Chóralnej. Przecinam ul. Karola Marksa i staję przed bazyliką katedralną św. Franciszka Ksawerego. Trzynawowy barokowy kościół zbudowano trzy wieki temu. Długie lata pełnił rolę fary i stanowił centrum życia duchowego katolickiej społeczności

miasta. Dziś nawet w dni powszednie odbywa się tu kilka mszy w języku polskim.

Idę na ul. Sowiecką – główny deptak miasta. W jednej z licznych kawiarenek wypijam białoruski wariant *espresso italiano* i delektuję się bobrujskimi zefirkami. To żelatynowe kulki o różnych smakach, od lat popularne w Rosji, na Białorusi i Ukrainie. Te z Bobrujska ponoć nie mają sobie równych od Kaliningradu po Kiszyniów, Odessę i Omsk.

ZAPROSZENIE DO STOŁU

Przysłowiowe „chleb i sól” to tutaj najczęściej ciemne treściwe pieczywo na melasie, pachnące miodem i kminkiem, oraz wędzona wieprzowa słonina. Do tego może być kwas chlebowy, kieliszek domowej nalewki na chrzanie albo ziołowa *nastojka*. W Kafe Dukat przy ul. Mostowej 37 w Grodnie – same chłodne przystawki wystarczyłyby za cały posiłek. Zestaw dojrzewających szynek, salami, śledź w śmietanie i kozi ser sąsiadują na stole z marynowanymi opieńkami, opiekaną oberżyną, różnymi piklami i sałatkami. Do tego świeże miniaturowe bułeczki drożdżowe maczane w czosnkowym sosie *mużdziej* i pasztecik nadziany jagnięciną. Podobnie jest

PODANO DO STOŁU

W restauracji Korolevskaya Ohota („królewskie polowanie”) w centrum Grodna same zimne przystawki wystarczają za niezły posiłek, a jak tu jeszcze zjeść danie główne i deser... Białorusini mają na to sposób: robią częste przerwy w jedzeniu, dużo tańczą i śpiewają.



SIELSKIE NIEMNOWO

Idąc brzegiem Ostaszanki w kierunku Niemna, mija się pomalowane na zielono i niebiesko wiejskie domy Niemnowa pamiętające jeszcze czasy Orzeszkowej. W sadach rosną tu stare drzewa, ziemie nie są zbyt urodzajne, ale ludzie pracowici i zapobiegliwi.



FOT. WILHELM KARUD

w restauracji grodzieńskiego hotelu Nieman, w korobczyckim Zamku Ziewany i wiejskiej sadybie Soniczi nad Kanałem Augustowskim.

Co zrobić, aby jeszcze potem zjeść danie główne? Wołowy stek z grillowanym czosnkiem i pieczonymi ziemniakami albo kawał jagnięcego udźca z duszonym bakłażanem i zestawem serów? A jak pochłonąć deser w postaci gorącego naleśnika, w którego zawinięto konfiturę z zielonych pomidorów w towarzystwie mielonych orzechów i całość obficie polano czekoladą? Białorusini mają na to sposób – długo przy stole siedzą, dużo tańczą i śpiewają.

Ziemie nie są zbyt urodzajne, ale ludzie pracowici i zapobiegliwi. W przydomowych sadach mają drzewa wiśni o pniach z ponad metrowym obwodem i potężne orzechy włoskie, zwane tu greckimi. Wszędzie dużo warzyw, które Białorusini, Polacy i Rosjanie potrafią przetwarzać i konserwować na wszelkie sposoby. Niedawno na Białorusi wydano reprint książki kucharskiej z połowy

XIX w., autorstwa polskiej szlachcianki Anny Ciundziewickiej z d. Prószyńskiej. Suszeniu, kiszeniu, marynowaniu płodów ogrodowych i dzikich ziół poświęcono w niej kilkadziesiąt stron.

Na Białorusi jest taniej niż w Polsce. Dobry, trzydaniowy obiad w średniej klasy restauracji można zjeść za 30–40 złotych. W sklepach mniej zapłacimy za chleb, masło, sery twarde, słodczyce, papierosy i alkohol. Dość drogie są dobre gatunki mięsa, wędlin i – stanowiące podstawę wyżywienia – ziemniaki. Wyjątkowo tanie jest paliwo, bilety wstępu do muzeów i transport publiczny. Ceny noclegów, podobnie jak u nas, są bardzo zróżnicowane, ale średnio o około 30 proc. tańsze.

„Zapraszają do stołu, a chleba nie położyli” – mawiają Białorusini. I jeśli w dziedzinie turystycznej infrastruktury jest tutaj jeszcze trochę do zrobienia, to gościnności nie trzeba nikogo uczyć. Przekonywałem się o tym na każdym kroku, co należy oczywiście uznać za dodatkową atrakcję wycieczek do tego kraju. ○




Wilhelm Karud

To literacki pseudonim Wiesława Karlińskiego, mieszkającego w Namysłowie nauczyciela, tłumacza, pilota wycieczek, dziennikarza, podróżnika i poety haiku. Pisać zaczął zauroczony skandynawską przyrodą ćwierć wieku temu. Zwiedził prawie czterdzieści krajów, opisując je w kilku setkach reportaży i tekstów literatury drogi.

Wieś Czarny Kierz o poranku. Zasiedlające te tereny przed Krzyżakami plemiona bałtyjskie, zwane ogólnie Prusami, rzadko tworzyły zwarte skupiska. Siedliska budowano w oddaleniu od siebie. Obecny charakter wielu wsi na Warmii i Mazurach zdaje się nawiązywać do tamtych czasów.

Paweł Oleszczuk
WARMIŃSKA
BALLADA

Krajobraz zadumany i swojski jak ballady Andrzeja Garczarka, czasem nagi i surowy jak pieśni Jana Krzysztofa Kelusa. Na Warmii są gminy, gdzie mieszka zaledwie kilka osób na kilometr kwadratowy. Kursują tu z rzadka szkolne busy i stare autokary. Kto jednak zagłębi się w tutejsze zakamarki, nigdy nie zapomni atmosfery tych stron. To miejsce idealne dla pragnących spędzić trochę czasu – lub po prostu życie – w kontakcie z przyrodą.



Tu jest takie odludzie, że mało kto wie o znajdującym się tu jakimkolwiek odludziu. Warmiński pejzaż zaprasza do wędrówki, błądzenia, odkrywania polnych i leśnych ścieżek, które nierzadko kończą się przy rzece lub w moczarach.

Co kilka lat w maju rzepak ciągnie się przez wzgórza aż po horyzont. Dróżki między wzgórzami zachęcają, by sprawdzić, co znajduje się za kolejnym zakrętem.






Wiele starych wiejskich szkół przekształcono na domy mieszkalne. Nierzadko żyją tam emerytowani nauczyciele. Podobnie w niektórych nieczynnych już budynkach kolejowych mieszkają ci, którzy przed laty sprzedawali podróźnym bilety.

Niepozorne, mało znane i ledwo widoczne strumyki mają ogromny wpływ na kształt warmińskiego krajobrazu. Przykładem może być Kiermas w Barczewie, znanym raczej z licznych mostów na znacznie większej Pisie.






Irlandczycy mogą sobie szukać leprechauna i jego garnca złota na drugim końcu tęczy. My już wiemy, że ukrył się w jednym z warmińskich siedlisk. Łatwo było go znaleźć, bo przestrzenie są szerokie, a horyzont, choć zróżnicowany, zazwyczaj daleki. Każda tęcza jest widoczna wyraźnie i w całej okazałości.

Turbiny wiatrowe kojarzą się z ekologią. Stawianie ich w pobliżu szczególnie malowniczych miejsc budzi jednak niezadowolenie. Instalacja tego wiatraka pod Lidzbarkiem Warmińskim nie wywołała protestów, jak w przypadku dwóch turbin w Lekitach k. Jezioran.

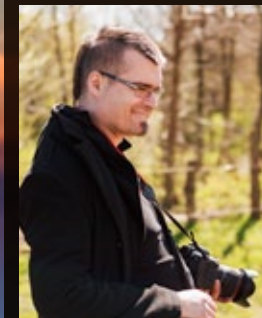


An aerial photograph of a village in Lidzbark Warmiński, Poland, taken at sunrise. The scene is characterized by a thick layer of mist or fog that fills the valleys and clings to the trees. Sunbeams, or crepuscular rays, stream down from the sky, illuminating the mist and creating a golden glow. The village consists of numerous small, traditional houses with dark roofs, interspersed with lush green trees and gardens. In the foreground, a prominent glass greenhouse is visible. The background shows rolling hills and more distant hills under a soft, hazy sky. A thin orange horizontal line is positioned above the text block.

Kończyłem fotografowanie zamku i katedry w Lidzbarku Warmińskim z różnych punktów miasta. Chciałem sprawdzić, czy z położonego na wzgórzu osiedla będę miał dobry widok. Okazał się mało atrakcyjny, za to spomiędzy drzew po przeciwnej stronie właśnie podnosiły się mgły. Krajobraz z ogródkami działkowymi sprawił, że to właśnie ze skarpy obok jednego z bloków zrobiłem najlepsze zdjęcia tamtego poranka.

Blanki to jedno z trzech jezior w biegu rzeki Symsarny. Z jednej strony jest pozagradzane przez właścicieli działek, większość linii brzegowej jest jednak dostępna. Mieszkańcy miejscowości Blanki – wioski zielarskiej – stworzyli przy brzegu piękną i malowniczą plażę.





Paweł Oleszczuk

Od 2009 r. mieszka na Warmii i fotografuje przede wszystkim pejzaż, architekturę oraz – najbardziej komercyjnie – przedmioty. Pracuje też jako redaktor i korektor, a w wolnym czasie pisze i tłumaczy piosenki, by koncertować z nimi w całej Polsce (pod pseudonimem Apolinary Polek). Więcej na oleszczuk.art i apolinary.pl.

Nad całą północną Polską niebo jest piękne, ale w połączeniu z tutejszym pejzażem tworzy szczególnie efektowny spektakl. A przy czystym powietrzu i niskim horyzoncie każdy zachód słońca, któremu towarzyszą chmury, to piękne widowisko.

AMOK



FOT. JULIA MICHALCZEWSKA

W kulinariach Kambodży przeplatają się wpływy wietnamskie i tajskie. Najbardziej popularne danie kuchni khmerskiej to *amok*. Jego głównymi składnikami są curry i imbir, najczęściej spotykaną wersją jest rybna, ale serwuje się go także z kurczakiem i wołowiną. Tradycyjnie *amok* podaje się w liściach bananowca, które dziś służą jako naczynie, a niegdyś używało się ich także do duszenia ryby.


Jedzenie to nieodzowna, a często również jedna z przyjemniejszych stron podróżowania. Zdarza się, że z egzotycznych wypraw oprócz pamiątek przywozimy także kulinarne przepisy. I choć pewnie w domu żadna potrawa nie będzie smakować tak samo jak tam, w odległych krajach, to jednak próbujemy te smaki odtworzyć. Nie zraża nas nawet brak oryginalnych składników, które twórczo zastępujemy dostępnymi u nas. W końcu, podobnie jak nie ma jednej receptury na bigos czy żurek, nie istnieje też jeden słuszny przepis na lasagne, soliankę czy zupę tom yum.

Gotowi jesteśmy przetestować każdy nadesłany przez Czytelników przepis. Najsmakowitsze opublikujemy na łamach tej rubryki.

*Podjmiemy
każde kulinarne
wyzwanie!*

Składniki:

- podwójna pierś kurczaka
- czerwona cebula
- trzy ząbki czosnku
- 2 łyżki sosu rybnego
- łyżka sosu sojowego
- łyżka curry w proszku
- łyżeczka kurkumy
- łyżeczka trawy cytrynowej
- 3 cm korzenia imbiru
- mała papryczka chili
- puszka mleka kokosowego

 Cebulę, czosnek, imbir, chili, sosy i przyprawy zmiksować na gładką pastę. Podgrzać chwilę na patelni, by mieszanka nabrała aromatu, a następnie włączyć mleczko kokosowe. Gdy zacznie się gotować, wrzucić pokrojonego w niewielkie kawałki kurczaka i ugotować. Można podawać z ryżem.





SŁONE SIOSTRY

Z jej powodu toczyły się wojny, szalały rewolucje, wybuchały konflikty. Była tak ceniona, że służyła jako środek płatniczy i często finansowała wielkie przedsięwzięcia. Kto ją posiadał, sprawował władzę. Nic dziwnego, że na królewskich stołach pojawiała się w złotych naczyniach wysadzanych drogimi kamieniami. Kiedyś była luksusem tylko dla bogaczy. Dziś jest powszechnie dostępna.

Indianie oddawali jej boską cześć, Fenicjanie zbudowali na niej handlowe imperium, a Homer nazywał ją pokarmem bogów. Zdolności do podtrzymywania życia i konserwowania uczyniły z niej ważny symbol we wszystkich religiach. To także ona sprawiła, że szynka parmeńska zyskała rozgłos, a sztuka kulinarna stała się bardziej wyrafinowana.

To prawda. Sól jest ostatnio moją obsesją, śni mi się nawet po nocach. Wszystko przez to, że od paru miesięcy w ogóle jej nie używam (chwilowo musi tak być) i bardzo mi jej brakuje. Od początku tej trudnej bezsolnej drogi podejmowałam desperackie poszukiwania choćby namiastki słonego smaku. Tak, posunęłam się nawet do praktyk indiańskich i usiłowałam spalić liście podbiału na popiół – podobno Indianie solili nim potrawy. Mnie udało się jedynie okopcić garnek, bo zielsko za nic nie chciało się palić, za to całkiem niezle

dymało. Potem przypomniałam sobie soliród, ale ponieważ zawiera on sól, bo rośnie na słonych podłożach, ta opcja również wzięła w łeb. Nie było wyjścia, oddałam się studiom nad solą. Wytrwale poszukiwałam jakiejś cudownej receptury, która pozwoliłaby mi uzyskać słony smak. Ostatecznie nic z tego nie wyszło. Podobnie jak z innych pomysłów, w tym licznych eksperymentów z różnymi ziołami. Nic, absolutnie nic, nie chciało być słone. Sól to jednak twór doskonały, nie do podrobienia. Poddałam się i... pojechałam na wyjątkową wycieczkę.

Podziemne miasta wydrążone w soli... Kilometry korytarzy lśniących od „białego złota”... Majestatyczne groty wysadzone solnymi kryształami... Tak, tego mi było trzeba! Zaintrygowana, z ciekawością zagłębiłam się w ten magiczny świat.

Żupy krakowskie. W swoim czasie były największym i najważniejszym przedsięwzięciem, które należało do króla.

Powstały pod koniec XIII w. i funkcjonowały do pierwszego rozbioru Polski. W ich skład wchodziły kopalnie soli w Bochni i Wieliczce, zamek żupny, warzelnie oraz cała infrastruktura związana z wydobyciem i przetwórstwem soli. Same kopalnie działały nieprzerwanie aż do XX w. Dziś stanowią atrakcję turystyczną, pełnią funkcje uzdrowiskowe i są miejscem niecodziennych wydarzeń. Na przykład w komorze Stanisława Staszica, w kopalni wielickiej, wykonano pierwszy podziemny skok na bungee, a także odbył się w niej jedyny na świecie podziemny lot balonem (!), co odnotowano w Księdze rekordów Guinnessa.

Królewskie kopalnie w Bochni i Wieliczce to wyjątkowe zabytki techniki na skalę światową. Obydwie kryją we wnętrzach fascynujące solne cuda i olśniewające kaplice św. Kingi, patronki górników solnych. Kopalnie te bardzo często nazywa się siostrami, przy czym Bochnia jest starszą siostrą Wieliczki. Początkowo w obydwu miejscach pozyskiwano sól ze słonych źródeł, które znajdowały się na powierzchni. Kiedy źródła wyschły, górnicy zaczęli drążyć studnie pod ziemią. W ten sposób natrafili na sól kamienną. Warto wiedzieć, że złoża wielickie jest ewenementem na skalę światową – ma dwudzielną budowę: w górnej części składa się z brył, w dolnej – z pokładów

soli, które są ułożone jedna na drugiej. Natomiast złoża bocheńskie występuje w postaci stromo ustawionych pasm soli o niewielkiej grubości. Z tego powodu wydobyć było tu zdecydowanie trudniejsze i mniejsze niż w Wieliczce. Wyrobiska kopalni w Bochni to blisko 60 km chodników położonych na głębokości od 70 do 290 m. Z kolei Wieliczka to prawie 200 km chodników leżących na 9 poziomach, a także 26 szybów oraz imponujące wysokością komory. Z tej kopalni przez lata wydobyto tyle soli, że starczyłoby jej na trzy piramidy Cheopsa.

Kopalnie w Bochni i Wieliczce w czasach swojej świetności przynosiły olbrzymie zyski. W XIV w. stanowiły one aż jedną trzecią dochodów państwa. Na co były przeznaczane? Na przykład Kazimierz Wielki właśnie na żupach uposażył profesorów Akademii Krakowskiej – pensje otrzymywali oni z kopalni. Z kolei na początku XVI w., gdy Zygmunt I Stary zaczął przebudowywać zamek na Wawelu w nowym renesansowym stylu, mógł to zrobić dzięki pieniądзом płynącym z żup. Jako ciekawostkę warto dodać, że to właśnie ten król polecił żupnikowi, aby co kwartał wypłacał królowej Bonie po 500 zł. Dzięki korzyściom płynącym z żup rozbudowywano kamienice i kościoły w Krakowie. Dziś sól to powszechnie dostępna przyprawa, ale kiedyś była niezwykle cenna. Na przykład w średniowieczu za jej kilogram trzeba było zapłacić grzywnę (czyli ok. 20 dag) srebra. Za dzienny urobek jednego górnika (ok. 34 kg) można było kupić konia z rzędem, a za ważącego ponad 1000 kg bałwana solnego – ludną wieś.

Praca pod ziemią w nieustannym zagrożeniu i ciemnościach powodowała, że górnicy zawsze byli bardzo religijni i budowali w kopalniach kaplice. Najstarszą zachowaną w Wieliczce podziemną świątynią jest kaplica św. Antoniego. Niestety, ciągły proces rozpuszczania solnych rzeźb przez wilgoć sprawia, że większość umieszczonych tu figur jest już trudna do rozpoznania. Z pewnością najslawniejsza jest kaplica św. Kingi, która imponuje wielkością i wystrojem. Ozdobiona misternymi żyrandolami oraz solnymi rzeźbami, amboną i monstrancją, robi niesamowite wrażenie. Także bocheńska kopalnia ma przepiękną kaplicę św. Kingi. Jej wnętrza również zdobią elementy wykonane z soli. Jest jednak



Pobierz aplikację
Publico24 Newsstand
i czytaj **Poznaj Świat**,
gdziekolwiek
masz ochotę



Znajdź nas w cyfrowym kiosku Publico24 Newsstand



R E K L A M A

dość nietypową świątynią, gdyż przez jej środek przejeżdża górnicza kolejka.

O soli, zasadniczo, wiem tyle, że jej codzienne spożycie nie powinno przekraczać 5 g, czyli objętości 1 płaskiej łyżeczki do herbaty. Natomiast górnicy zatrudnieni przy wydobyciu soli potrafią nazwać blisko 30 jej odmian. Sole lodowe, białe, perłowe, mleczne, a nawet miodowe. Doświadczony górnik po obejrzeniu kruchu (grudki soli) bez trudu określi nawet, z jakiego poziomu i miejsca kopalni ta sól została wydobyta.

Dziś w obydwu kopalniach nie ma już górników, są za to turyści, a jest co zwiedzać. W Wieliczce odbędziemy wyprawę w najbardziej dzikie rejony kopalni. W Bochni czeka na nas przeprawa

drewnianą łodzią przez solankową komorę, która znajduje się 230 m pod ziemią. Niezależnie od sposobu zwiedzania zobaczymy zadziwiające krajobrazy, które wyrzeźbiła zarówno natura, jak i ludzka ręka. ○

Anna Szczęśna

Dziennikarka, politolog, redaktor. Podyplomowo ukończyła także filologię polską i archiwistykę. Pasjonatka historii, archeologii, etnografii. Miłośniczka zabytków, literatury i sztuki. Entuzjastka spontanicznego zwiedzania. Bywa, że podróżuje z rozmysłem. Jednak najczęściej zatrzymuje się tam, gdzie coś ją akurat zachwyci.

Początek roku

Zima od lat w Polsce jest kapryśna. Kilka dni mamy duże mrozy, innym razem obfite opady śniegu, by czasem cieszyć się niemal wiosenną aurą. Prezentujemy zestaw produktów przydatnych w różnych aktywnościach outdoorowych i przy różnych warunkach.

EKSTREMALNIE MOCNY CAT S41

To wytrzymały smartfon z całą gamą przydatnych funkcji. Ma bardzo jasny ekran IPS o przekątnej 5 cali i rozdzielczości FHD (1920 × 1080 px). Można go obsługiwać nawet mokrym palcem oraz w rękawicach. Szkło to Corning® Gorilla® Glass 5. O jego mocy świadczy ośmiordzeniowy procesor 2,3 GHz. Bateria litowo-jonowa o pojemności 5000 mAh pozwala na 44 dni trybu czuwania i 38 godzin w trybie rozmawiania. Odporność na upadki testowano z wysokości 1,8 m, wodoodporność zaś na głębokości 2 m (w czasie 60 minut). Jest odporny na wstrząsy, piasek, kurz, brud, drgania i wysokie ciśnienie, a pracuje w zakresie temperatur od -25°C do 55°C. Wymiary: 152 × 75 × 12,85 mm i 218 g.



Cena: ok. 1600 zł
www.catphones.com

KLASYKA Z OFERTY CHIRUCA CARES

Model z linii Trekking przeznaczony do turystyki w średnio trudnym terenie. Membrana Gore-Tex zapewnia pełną wodoszczelność oraz oddychalność. Cholewka z hydrofobizowanej nappy i nubuku jest odporna na zabrudzenia i przemakanie. Dwuwarstwowa podeszwa Vibram Stone oferuje wysoki komfort, dużą odporność na ścieranie oraz dobrą przyczepność. Górna warstwa podeszwy jest wykonana z elastycznego poliuretanu, natomiast dolna – z trwałej gumy. Buty są dostępne w czterech wersjach kolorystycznych i są wyjątkowo lekkie (629 g).



Cena: ok. 580 zł
chiruca.pl

MATA SAMOPOMPUJĄCA SEA TO SUMMIT COMFORT PLUS S.I.

To gwarancja udanego odpoczynku podczas każdego biwaku. Grubość 8 cm oraz R-value na poziomie 4.1 zapewnia komfort materaca dmuchanego. Komory powietrzne wykonane w oparciu o opatentowaną technologię Delta Core pozwoliły obniżyć wagę oraz objętość maty, a przy tym nie odebrały jej wygody. Kompaktowy, niskoprofilowany wentyl zapewnia łatwe pompowanie oraz jednokierunkowy wylot, zapobiegający napęczeniu podczas składania. Produkt został wykonany z wysokiej klasy poliestru wytrzymałego na uszkodzenia. Antypoślizgowa powierzchnia pozwala utrzymać stabilną pozycję w namiocie. Mata Comfort plus S.I. otrzymała nagrodę ISPO Award 2017/2018.



Cena: ok. 550 zł
www.seatosummit.pl

CIEPŁO I KOMFORTOWO SEA TO SUMMIT SPARK

Śpiwory z serii Spark są idealnym połączeniem gęstego puchu 850+ loft 90/10 Premium, zdumiewającej ochrony Ultra-Dry Down oraz superlekkiego nylonu, co gwarantuje doskonały stosunek wagi do właściwości termicznych. Składają się do tak małych rozmiarów, że konieczne stało się zaprojektowanie specjalnego worka kompresyjnego. Produkt przypomina przylegające do ciała śpiwory typu mumia. Ma pełny kaptur, anatomiczną przestrzeń na nogi i krótki zamek zapewniający komfort i ciepło. Śpiwory Spark zostały skonstruowane z poprzecznych komór, aby kumulować ciepło oraz minimalizować jego straty.



Cena: ok. 1450 zł
www.seatosummit.pl

SKUTECZNY W DZIAŁANIU NIKWAX® DOWN WASH DIRECT®

Łatwy w zastosowaniu, bezpieczny, wysoce skuteczny, techniczny środek czyszczący do odzieży oraz sprzętu wypełnionego puchem impregnowanym lub zwykłym. Skutecznie czyści i odnawia właściwości wodoodporne oraz zachowuje puszystość i właściwości izolacyjne puchu.



Cena: ok. 40 zł
www.nikwax.com

Cena: ok. 27 zł
technicalsocks.eu



NA TREKKING COMODO PERFORMANCE

Skarpety trekkingowe o niezwykle lekkiej wadze i wytrzymałości. Ich sekret tkwi w użytych materiałach: włóknie bambusowym, Polycolonie i Prolenie Siltex z jonami srebra AG+. Bambus zapewnia delikatność, Polycolon – odprowadzanie wilgoci, a Siltex pochłania zapach potu. Skarpety są wykonane zgodnie z najwyższymi standardami jakości, przy użyciu technologicznie zaawansowanych maszyn. W skarpetach Comodo Performance nogi będą suche i odpowiednio zabezpieczone przed otarciami. Skład: 40% włókno bambusowe, 30% Polycolon, 15% Siltex Ag+, 10% poliamid, 5% elastan.

NA KAŻDĄ WYPRAWĘ GARMIN INREACH EXPLORER+

Komunikator satelitalny inReach Explorer+ dzięki technologii satelitarnej Iridium zapewnia łączność na całym świecie, bez stref słabego sygnału czy miejsc całkowicie go pozbawionych, a GPS i fabrycznie wgrane mapy topograficzne ułatwiają nawigację. Z urządzenia można wysłać wiadomości i udostępniać swoją pozycję z każdego miejsca na Ziemi, a w razie potrzeby wykorzystać interaktywną funkcję SOS pozwalającą skontaktować się z GEOS – całodobowym centrum poszukiwawczo-ratunkowym. Zapewnia działanie do 100 godzin w trybie śledzenia oraz do 30 dni w trybie oszczędzania baterii, a jego wytrzymała obudowa gwarantuje odporność na uderzenia i wodoszczelność zgodną ze standardem IPX7.



Cena: ok. 2200 zł
explore.garmin.com/pl-PL/inreach

TWARDA SZTUKA OLYMPUS TG-5

Do utrwalenia na zdjęciach i filmach śnieżnego szaleństwa idealnie sprawdzi się Olympus TG-5 z pancernej serii Tough. Odporność na wodę, niskie temperatury oraz upadki spowoduje, że nie trzeba się o niego martwić na stoku. Nowy procesor i matryca to cechy, które zagwarantują rewelacyjne zdjęcia i filmy w rozdzielczości 4K. Aparat wyposażono w Wi-Fi do przesyłania zdjęć i sterowania na odległość oraz moduł GPS, dzięki któremu zobaczymy m.in. tracking ze stoku, naszą prędkość i miejsce nagrania filmu.



Cena: ok. 2200 zł
www.olympus.pl

DLA NASZYCH MALUCHÓW DUCKSDAY BABY SNOWSUIT

Praktyczny, bardzo ciepły kombinezon zimowy z membraną dla najmłodszych dzieci. Dzięki materiałom o bardzo dobrych parametrach technicznych (wodoodporność 10000 mm, oddychalność 5000 g/m²/24h i wiatroszczelność) oraz bardzo ciepłemu, lekkiemu wypełnieniu 3M™ Thinsulate™ Extra Warmth kombinezon zapewni skuteczną ochronę nawet w najzimniejsze dni. Włókna ocieplająca 3M™ Thinsulate™ zapewnia ciepło bez dużej ilości tkaniny w kombinezonie i pozostawia swobodę ruchu. Kombinezon jest wyposażony w długi zamek błyskawiczny kończący się na plecach, co ułatwia zmianę pieluszki. Dzięki odwijanym mankietom na rękawkach i nogawkach można odsłaniać bądź zakrywać dłonie i stópki. Dla dzieci w wieku od 3 miesięcy do 3 lat.



Cena: ok. 260 zł
www.matiandmaks.pl



Cena: ok. 350 zł
www.navitel-poland.pl

JAKOŚĆ I BEZPIECZEŃSTWO NAVITEL R800

To wideorejestrator samochodowy z wytrzymałą, metalową obudową i niezawodnym, ergonomicznym uchwytem na przednią szybę. Urządzenie ma szeroki kąt widzenia 170° i nagrywa filmy FullHD z szybkością 30 klatek na sekundę. Wideorejestrator wykorzystuje jedną z najbardziej wydajnych technologii kompresji obrazu H.264. Pozwala to na nagranie filmów, które nie zajmują dużo miejsca na karcie pamięci. Materiały wideo i zdjęcia zapisywane są na karcie microSD o pojemności nawet do 256 GB. Wideorejestrator włącza się automatycznie po uruchomieniu silnika. Wbudowany czujnik przeciążeń rejestruje i chroni materiał zarejestrowany podczas wypadku, gwałtownego przyspieszenia, hamowania lub kolizji. Urządzenie ma możliwość ustawienia ekspozycji oraz tryb parkingowy, 4-calowy wyświetlacz w technologii IPS oraz mikrofon do nagrywania dźwięku w wysokiej jakości. W zestawie znajdują się dwa uchwyty (na przysawkę i taśmę 3M).

MARMOT GUIDES DOWN HOODY

Poczucie komfortu to niezwykle ważna sprawa, czy to podczas spaceru w mieście, czy to zimowego wyjścia w góry. Stworzenie kurtki, która zaspokoi potrzeby zarówno miłośnika aktywności w terenie, jak i zaprawionego turysty, to niełatwa sprawa. Myślę, że Marmot Guides Down Hoody spełnia te oczekiwania, choć to model przeznaczony dla ambitnych turystów, a nie spacerowiczów z Krupówek.

Paczka z tą niezwykle popularną wśród miłośników górskich wędrówek kurtką trafiła do mnie w drugiej połowie grudnia, gdy w Polsce mieliśmy na przemian opady śniegu i odwilże. Dużych mrozów nie było, ale wysoka wilgotność i porywisty wiatr sprawiały, że odczuwalna temperatura była naprawdę niska. Zatem warunki do testowania kurtki były odpowiednie. Wypad na Skrzyczne to potwierdził.

W Marmot Guides Down Hoody zastosowano najwyższej jakości naturalny gęsi puch, który odpowiada za doskonałą termikę tego modelu. Sprężystość puchu wynosząca aż 800 cui gwarantuje, że przy niezwykle niskiej



Cena: ok. 1100 zł
www.ravenco.eu

wadze kurtka ma bardzo dobre właściwości izolacyjne. Puch ma certyfikat RDS (Responsible Down Standard), dzięki któremu można mieć pewność, że pochodzi on wyłącznie z odpowiednio zarządzanych hodowli. Podczas projektowania zadbano również o to, aby zgromadzone wewnątrz ciepło nie uciekało na zewnątrz. W jego zatrzymaniu pomagają mankiety z rzepami, które można idealnie dopasować do rąk, oraz ściągacz ze stoperem u dołu. Naturalny gęsi puch zastosowano również w zintegrowanym kapturze, dzięki czemu może on dobrze zabezpieczać głowę przed ujemnymi temperaturami. Nowością w tym modelu jest ultralekki i wzmocniony technologią ripstop materiał zewnętrzny. Doskonale przytrzymuje ocieplinę na miejscu, dzięki czemu jest równomiernie rozłożona w poszczególnych komorach. Całość jest przy tym lekka i pozwala na złożenie kurtki do niedużych rozmiarów, co sprawdzi się w czasie jej transportu w plecaku. Zastosowanie hydrofobowej impregnacji DWR w tej warstwie zapobiega szybkiemu namakaniu materiału zewnętrznego. Obie przednie kieszenie oraz jedną napoleońską wyposażono w zamki dobrze chroniące zawartość. Duża kieszeń z suwakiem znalazła się w środku i po wywinięciu staje się po-



FOT. GRZEGORZ MIEDZIŃSKI

krowcem transportowym, do którego mieści się cała kurtka. Jest to bardzo wygodne rozwiązanie, które pozwoli nam bez przeszkód chować kurtkę w plecaku, kiedy zrobi się nieco cieplej.

Za wyjątkową jakość kurtki Marmot Guides Down Hoody odpowiada wieloletnie doświadczenie producenta w wytwarzaniu ubrań z puchowym wypełnieniem. Dzięki niemu projektanci doskonale wiedzą, na jakie szczegóły zwrócić baczną uwagę, aby całość spełniała najwyższe światowe standardy odzieży górskiej. Jakość procesów produkcyjnych i dbałość o najmniejsze detale sprawiają, że kurtka ta będzie stałym elementem naszego zimowego wyposażenia. Moje wrażenia są bardzo pozytywne. Kurtka świetnie leży, nie krępuje ruchów, po założeniu grzeje już po kilkunastu sekundach. Na pewno zajmie miejsce mojej poprzedniej puchówki innej marki, którą zmęczył już nieco czas.

Test: Grzegorz Miedziński



SOS WIOSKI
DZIECIĘCE

SZUKAMY RODZICÓW SOS



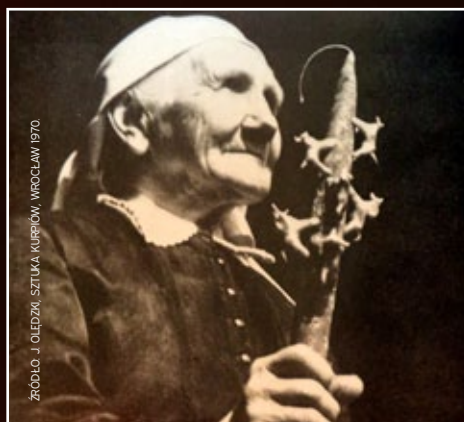
Zostań zastępczym rodzicem SOS w Wiosce Dziecięcej.
Tutaj opuszczone i osierocone dzieci znajdują swój nowy dom i rodzinę.
Pomóż zastąpić niezastąpionych.

Dowiedz się więcej na www.rodzicesos.org lub zadzwoń **22 460 92 51**

Wota dla Walentego

14 lutego w Polsce stał się dniem zakochanych zwanym walentynkami. Św. Walenty był biskupem Terni żyjącym w III w. Jest patronem osób chorych oraz ich opiekunem w czasie zarazy. Przede wszystkim miał wspierać cierpiących na padaczkę, nazywaną niegdyś chorobą św. Walentego. Jeszcze w pierwszej połowie XX w. 14 lutego w kościołach odbywały się nabożeństwa, na które przynoszono woskowe wota. Miały one kształty serca, rąk, nóg czy krążków. Symbolizowały cierpiące części ciała wiernych, w których intencji była odprawiana msza. Początkowo wota wykonywali sami ofiarnicy, jednak z czasem kościelni zaczęli je wypożyczać wiernym za drobną opłatą lub za produkty spożywcze. Wota należało trzymać w ręku albo na czole, a następnie obejść trzykrotnie ołtarz, zbierając po drodze kurz, który wcierano w bolące miejsce. Nie wolno było wymawiać nazwy choroby, z obawy, że może ona to usłyszeć i jeszcze bardziej nękać cierpiącego. Na Pomorzu zamiast kształtów i postaci odlewano świece wysokości chorego i w jego intencji 14 lutego zanoszono ją do kościoła. W wierzeniach ludowych wosk pszczeli był substancją szlachetną, świętą i cenną.

TEKST: ALEKSANDRA CWIĘK





KORFU – LAZUROWA PRZYSTAŃ



TAJLANDIA – BUDDYJSKIE PIEKŁO



NORWEGIA – KAJAKIEM DO WRÓT ARKTYKI

Poznaj Świat

MIESIĘCZNIK

Redaktor naczelna
Katarzyna Rojek
katarzyna.rojek@poznaj-swiat.pl

Zastępca redaktor naczelnej
Julia Michalczywska
julia.michalczywska@poznaj-swiat.pl

Sekretarz redakcji
Anna Krysztofak-Gawryjolek
redakcja@poznaj-swiat.pl
tel. 535 444 990

Zespół i współpracownicy
Ryszard Badowski, Anita Demianowicz, Łukasz Długowski,
Maria Giedz, Mikołaj Gospodarek, Maciej Jastrzębski,
Marcin Kołpanowicz, Sławomir Kozdraś, Marta Legieć,
Tomasz Owsiany, Anna Szczęśna, Magdalena Żelazowska

Grafika, skład i przygotowanie do druku
Maciej Jurkowski, Anisim Fomiczow

Korekta
Joanna Lewandowska

Adres redakcji
80-252 Gdańsk, ul. Jaśkowa Dolina 17
redakcja@poznaj-swiat.pl
www.poznaj-swiat.pl

Wydawnictwo
Probiec Leasing sp. z o.o. sp. k.
80-180 Gdańsk, Kowale ul. Glazurowa 7

Koordinator do spraw wydawniczych
Beata Pernak
prenumerata@poznaj-swiat.pl

Jak zamówić prenumeratę?
Zadzwoń i dowiedz się: 58 350-84-64

PRENUMERATA KRAJOWA
numer rachunku 77 1140 1065 0000 2145 6200 1004
posiadacz rachunku PROBIER

PRENUMERATA ZAGRANICZNA
mBank SA, Gdańsk, ul. Wały Jagiellońskie 8
IBAN PL 77 1140 1065 0000 2145 6200 1004
SWIFT BREXPLPWGDA

 facebook.com/miesiecznikpoznajswiat

Marketing i reklama
marketing@poznaj-swiat.pl

Reklama outdooru
Grzegorz Miedziński
tel. 501 641 706

Reklama świata
Aleksandra Musiał
tel. 664 115 333

Materiałów niezamówionych redakcja nie zwraca. Redakcja zastrzega sobie prawo do zmian tytułów, opracowania redakcyjnego tekstów oraz graficznej korekty zdjęć. Redakcja nie odpowiada za treść zamieszczanych reklam i ogłoszeń. Opinie zawarte w artykułach są osobistymi przekonaniami ich autorów.

HAMMER BLADE

DLA ŻYJĄCYCH *BARDZIEJ*



Wyświetlacz



Certyfikat
IP 68



Drop test
1.2m



13 Mpx



Czytnik
lini papilarnych



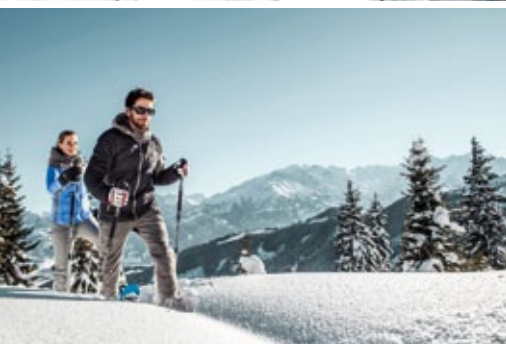
HAMMEROMANIA.PL

LODOWIEC, GÓRY I JEZIORO



LET THE HAPPINESS IN!

NOWOŚĆ
W SEZONIE 17/18
NOWOCZESNA
10-OSOBOWA
GONDOLA
AREITXPRESS



ZIMA I RELAKS Z GWARANCJĄ ŚNIEGU

NAJWAŻNIEJSZE ATRAKCJE:

- 3 ośrodki narciarskie dostosowane do różnych umiejętności narciarskich
- 100 % gwarancja śniegu
- 66 tras narciarskich o łącznej długości 138 km
- 5 światowej klasy snowparków, trasy do jazdy nocnej, najdłuższy funslope na świecie
- nowość w sezonie 17/18: 10-osobowa gondola areitXpress z darmowym Wi-Fi
- szczyt Schmittenhöhe z tarasem widokowym 360 stopni
- lodowiec Kitzsteinhorn z platformą widokową „Top of Salzburg“ na wysokości 3 029 m n.p.m.
- wiele innych możliwości spędzania czasu: zimowa wspinaczka, tyżwy, wellness w Zell am See-Kaprun, kasyno z widokiem na jezioro...
- ważne wydarzenia sportowe